



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych
po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60;
kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Krolestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na pro-
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

NIE DLA MNIE.

Nie dla mnie, Panie! to lazurów morze,
Co we dnie słońcem, nocą lśnią gwiazdami —
Nie dla mnie, Panie! porankowe zorze,

Co ziemię rosy witają kroplami
I drżą w powietrzu, jak aniołów skrzydła,
Pomiędzy ziemią tą i błękitami.

Nie dla mnie, Panie! kwiatów małowidla,
Ni lekkie, szybkie motylów błyskanie,
Które barw lśniących nastawiają siidła

I różom niosą pieśń i całowanie...
Słońce i gwiazdy, motyle i róże,
I sny miłości — już nie dla mnie, Panie!

Nad czołem mojem przeleciały burze
I błyskawice pożarem czerwone...
I duchy jakieś, uwite w purpurze —

Ach! i pognały wszystkie w tamtą stronę,
Z której już żaden żywy duch nie wraca..
A ja za nimi mam oczy zwrócone!

Kazimierz Gliński.

KOBIETA CZESKA

z XVII-go wieku.

Historyk i pracowity badacz dziejów czeskich, Franciszek Dworsky, odkrył w archiwum hrabiów Czerninów w Jendrychowym Hradcu ciekawy zabytek odległej przeszłości: listy czeskiej matrony z XVII wieku, pisane do rodziny i domowników. Pani ta, imieniem Zuzanna, córka zasłużonego i w dziejach Czech znanego rodu Homotów z Harasowa, była małżonką Jana Czernina z Chudjenic, potomka również starożytnego rodu. Listy obejmują epokę lat dwudziestu: pierwszy nosi datę 1634 r., ostatni, pisany był na dwa tygodnie przed śmiercią, w 1654 r., a całość tej korespondencji, składającej się przeszło z dwustu listów, rzuca jasne światło na ówczesny świat kobiet czeskich z okrutnych, krwawych czasów po bitwie białogórskiej.

Z notatek i wstępu, jakim zacny badacz dziejów czeskich opatrzył wydaną przez siebie książkę, poznajemy rodzinne stosunki piszącej, a na ich tle dodatnio występujące sylwetki kilku postaci kobiecych, szczególnie zaś jej matki, Elżbiety z Cimbarku Homotowej. Sama autorka listów jest kobietą wielkiego serca i charakteru. Rok jej zamążpójścia przypada na czas pamiętnych rządów Ferdynanda II po bitwie białogórskiej, gdy wyrok wydany w 1621 r. wypędzał z granic korony Ś-go Wacława wszystkich dobrych, gorącego serca Czechów, których nazwiska doszły do wiadomości urzędników cesarskich. Cała rodzina Czerninowej idzie na wygnanie. Starożytne siedziby panów na Homotowie, Harasowie,

Kwitkowie ¹⁾ opustoszały i dzięki tylko wyjątkowemu okolicznościom Czerninowie, skazani również na banicję, pozostali w ojczyźnie. Młoda małżonka patrzy na lzy, na niedolę swoich, i serce jej, serce uczciwej Czeszki krwawi się na widok nieszczęść ogółu.

Wzorowa żona i matka jest też najzaciejszą obywatelką i, jakkolwiek zakres jej działalności nie wybiega poza obręb domowego ogniska, nic z tego, co dzieje się wkoło, nie jest jej obcem i obojętnem. Zajmuje ją ekonomiczny stan kraju, zajmują sprawy publiczne i własne gospodarstwo — dom. Obserwatorka bystra, zastanawia się nad wszystkim i na wszystko patrzy rozumnie, jasno rzeczy widzącem okiem, a choć szczerą katoliczką, cierpi niemniej nad straszną w swoich skutkach wojną religijną. — Kocha rodzinną ziemię, pragnie dla niej szczęścia, spokoju, lecz co chwila nowy grom uderza w serce tej dobrej *vlastenki*.

Podczas nieobecności męża, którego urząd powołuje często do Pragi, do Wiednia nawet, musi zajmować się całem gospodarstwem i interesami majątkowemi, z czego zdaje mu najdokładniejsze relacje. Sama dogląda strzyży owiec, sortowania wełny; wie o każdym ziarenku zboża, objeżdża rozległe swe włości, kontroluje administratorów, służbę, a pomimo to prowadzi starannie gospodarstwo kobiece: sama się niem zajmuje i, dokładając ręki własnej suszy owoce, grzyby, wydaje osobiście zapasy żywności na stół i dla domowników i przypomina tem nasze dawne matrony. Po śmierci męża, dotknięta okrutnym ciosem boleści, nie opuszcza jednak rąk; z właściwą charakterowi swojemu energią obejmuje cały ster rządu. Stosunkowo dość jeszcze

¹⁾ Szwagier Czerninowej, Jan Wleet z Kwitkowa, przeniósł się do Polski, czas jakiś mieszkał w Województwie Kaliskim, umarł w Toruniu 1633 r.

młoda wdowa oburza się na samą myśl powtórne-
go zamełcia i strata ukochanego *holatka* ²⁾ jak
męża w listach swych pieszczotliwie nazywała,
jest dla niej stratą nigdy nieprzebolalą; dla sie-
bie nie pragnie już ona niczego, żyje już tylko
dla dzieci.

Wyjątkowo ciężkie, rozpaczliwe położenie
Czech przysparza biednej kobiecie trosk i nie-
pokojów. Obie jej córki: Eliszka Myslikowa
i Ewa Kapounowa dzielą tułaczę życie mężów
wojaków. Starszy syn, Humprecht, szuka, ówce-
snym zwyczajem nauki we Francji, we Wło-
szech, a tęsknotę osamotnionej matki powiększa
obawa o jego życie, gdy grasująca zaraza każde
jutro czyni niepewnem. Dotych przeżyć moralnych
dołączają się i kłopoty materialne: nieustanne
przechody wojsk, podatki, kontrybucye, ruinują
najzamożniejszych, Stratowane końskiemu ko-
pytami pola nie wydają plonów, i są chwile,
w których pani na Radeninie, Mitrowicach i Ko-
stomlachs walczy z niedostatkiem najpierwszych
nawet potrzeb. Ale z poddaniem się woli Bożej
znosi te ciężkie przejścia życia, a uczucie obo-
wiązku względem dzieci i społeczeństwa dodaje
jej sił do ciężkiej walki z losem, więc zaprowa-
dza oszczędności, załatwia rodzinne i gospodarcze
sprawy, rządzi tak całym wielkim majątkiem,
aby żadna pięćdziesiątka włości rodowych nie
przeszła w ręce cudze. Każda uwaga czyniona
przez matkę w listach do syna ujawnia umysł po-
ważny i myślący; czy-to kiedy upomina go, aby
unikał lekkomyślnych towarzystw; czy-to kiedy
rozpisuje się o wewnętrznym stanie kraju, lub
własnych interesach, przywiązanie do czeskiej
ojczyzny przebiega się w każdym słowie, bo wszyst-
ko, co swoje, jest jej drogim, więc najlepszym
i najmiłszym.

Gdy w 1648 roku Humprecht powrócił do do-
mu, serce matki zabiło radością na myśl, że stare
gniazdo rodu Czerninów zaświeci dawnym bla-
skiem śpiących w grobie przodków. Wysyłając
go za granicę o tem myślała — cieszyła się na-
dzieją, że, przywożąc z zagranicy naukę i szersze
na życie poglądy, przyłoży rękę do pracy dla
podniesienia rodu i dobra kraju; ale młodego ma-
gnata nęcił cesarski dwór w Wiedniu, nudno
mu było wśród omszałych murów starego zamku
Radenina. Dworskie festyny, orderzy i tytuły
ciągnęły go do siebie: niedługo też wyrwał się
matce ze starego rodzinnego gniazda, przeniósł
się do Wiednia, oddalił służbę czeską, otoczył
się Niemcami i wkrótce pojął za żonę cudzoziem-
kę — jedną z dam dworskich — Włoszkę: Maryą
Dyanę Gazoldo.

Biedna matka snuła dla przyszłości syna inne
plany. Wiedziała, że wyjeżdżając z domu uno-
sił w sercu obraz pięknej dziewczyny czeskiej, hra-
bianki Berkowny. Ale ta nie chciała czekać na
zabawionego gdzieś długo podróżnika, wyszła za
mąż za młodego Waldstejna, a jakim uczuciem
odbiło się to na sercu powracającego do kraju
młodzieńca? niewiadamo. Może już i on nie ko-
chał, a może wierzył w wierność wybranej dzie-
wicy i dostał w serce cios, który go odstręczył
od szukania szczęścia w domu? Wziął na towa-
rzyszkę życia cudzoziemkę i matka nie pojechała
na ślub syna jedynaka, miłość do niego nie prze-
wyższyła w jej sercu uczuć innych i nie wycią-
gnął jej z progów oczystych nawet własnoręczny
list cesarzowej, w którym żona Ferdynanda III
polecała sercu swiekry synową cudzoziemkę.
Przecież później nieszczęśliwa, zawiedziona we
wszystkich swych nadziejach kobieta była naj-
lepszą matką dla przybranej córki.

Przyjmuje ją serdecznie w murach starego
gniazda rodu, podejmuje gościnnie, a na wieść że
pani dsceruszka nauczyła się pisać poczesku,
przesyła jej w liście podziękowanie i błogosła-
wienie, a piękny to, wzruszający rys w życiu
tej dostojnej matrony.

W całej korespondencji Czerninowej widnieje
obok inteligencji i miłości Czech, wysokie uczu-
cie humanitarne. W epoce, gdy lud uważanym
był za podściół dla życia klas wyższych, ona,

córka arystokratycznego, wysoko postawionego
rodu, można pani rozlicznych włości, cierpi nad
dolą wieśniaczego, dołem zbitego tłumu, i żyjąca
na dwieście kilkadziesiąt lat przed nami, wyprze-
dza nawet nieraz w poglądach swych na stosunki
klas idee dzisiejsze. Urzędnikom swym gospo-
darskim nakazuje surowo sprawiedliwe i łago-
dne obchodzenie się z ludem wiejskim, a naj-
mniejsze nadużycia: gwałt wszelki, oburza jej
szlachetne serce.

I wtajemnicza się też w potrzeby ludu, bada
życie rodzinne służby swojej, poddanych, karci
surowo niemoralność, rozprzężenie węzłów mał-
żeńskich, lekceważenie obowiązków. Lecz jedno-
cześnie najwierniejszy, najgorliwszy w jej służbie
rządca mógł stracić u niej odrazu miejsce, gdy-
by ją doszła wieść, że był srogim lub niesprawie-
dliwym dla ludu.

Takiesame uczucia i pojęcia charakteryzowały
jeszcze jej matkę, Elżbietę Homotową. — „Nie
opuszczaj biednego i tak już nieszczęśliwego lu-
du“ — píše ona w liście do córki, która też wiernie
stała przez życie całe przy tych zasadach ucze-
nych. Martwi ją upadek majątkowy rodziny,
niszczenie jej dzierżaw, utyskuje nad podatkami,
którymi obciążono czeskich panów, lecz silniej
bierze do serca niedolę wiejskiego ludu. Gdy za-
raza morowa dołączyła się do różnych klęsk
przygniatających Czechy, ogarnia ją trwoga o ży-
cie dzieci, lecz jednocześnie dręczy ją myśl, co
się będzie dziać z biednym ludem zruinowanych,
zubożałych wiosek? Choroba wiejskiej dziewczyny
Agnieszki, niepokoi ją taksamo, jak zdrowie
córek Lobkowiców czy Kolowratów.

W listach pisywanych do syna, słyszymy rów-
nież odzywającą się strunę uczuć i poglądów hu-
manitarnych. — „Bądź dobrym, łagodnym i spra-
wiedliwym panem“ — oto główna treść listów ma-
tki do syna.

Przecież życie tej kobiety, jak to pokazuje się
z jej listów, nie było ani wesołem, ani szczęśli-
wym.

Wreszcie owdowienie, strata córki Eliszki, nie-
pokój o los pozostałych dzieci i wnucząt — następ-
nie burzliwe zamiecie trzydziestoletniej wojny,
niszczącej ogniem i mieczem krainę czeską, wszyst-
ko razem pedkopywało żywotne jej siły. Już za
czasów pobytu syna we Włoszech często zapa-
dała na zdrowiu i były chwile, w których sądziła,
że już go nie zobaczy — nie pożegna i nie pobło-
gosławi. Gdy przecież pokój został zawartym
w Osnabrück i Münster, gdy ukochana jej *vlast*
otrzymała choć trochę pokoju, a lud wiejski
przestał uciskać gnębiące ciężary wojny, gdy
zraniona pierś Czech oddechnęła nieco — i jej wró-
ciło trochę sił, ale nie nadługo. Życie było już
podcięte u korzenia i śmierć przyszła wkrótce
zamknąć zmęczone oczy. Umarła w Radeninie
i tam ją pochowano obok męża, jak to wskazuje
marmurowa tablica w kościele tamtejszym.

Listy pozostałe po niej odtwarzają obraz czasu,
w którym żyła, malują stosunki i zwyczaje epo-
ki, ich prostotę i grozę dziejów czeskich w tym
momencie historycznym, a czytelnikowi ich na-
suwa się na myśl pytanie: ile to podobnie cieka-
wych szczegółów życia kobiet naszych, kryją
archiwa rodzinne? Kobiety czeskie winne są też
wdzięczność historykowi swemu, że z pyłu archi-
walnego wydobył na jasność dzienną postać tej
szlachetnej matrony. Jakże odbija ona od tych
kobiet, o których utalentowana powieściopisarka
czeska, Karolina Sviatla, pisze we „Wspomnie-
niach“ młodości swojej: „Była to epoka, w któ-
rej matki czeskie dlatego tylko brały do dzieci
swoich czeskie piastunki, aby te na twardej we-
dług nich czeskiej mowie wyłamywały sobie ję-
zyk do innej, cudzoziemskiej“.

Zmieniły się przecież stosunki, Sviatla, której
młodość ubiegła w czasach najsmutniejszych dla
jej rodzinnej ziemi, doczekała się rozbudzenia
innych uczuć i pojęć, a dzisiejsze pokolenie ko-
biet, odczytując listy Czerninowej z Harasowa,
może sobie czerpać z jej listów naukę i szlachet-
ne, podniosłe wskazówki postępowania, jakkol-
wiek ta, co je kreśliła, nazywa sama siebie:
„Czeszką starej daty“, Dobra to była data ta-

kich uczuć i ciepła serdecznego: takiej prostoty,
wiernej obowiązkowi.

Melania Parczewska.

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

„AVE!“

OBRAZEK WSPÓŁCZESNY.

Ciąg dalszy).

— Czy zechcę?... powinnaś pani nawet py-
tać o to?

— *Eh bien!*.. więc chodźmy!..

— Dokąd się udamy? — zapytał Ławski, idąc
blisko Ireny.

— Do lasu... Ojciec pojechał do barona Drei-
mundta, Flora na migrenę cierpi, a ja — śmiertel-
nie się nudzę!

— Nudzi się pani? — zapytał Michał, podno-
sząc wzrok na nią.

— Czy pan tego nigdy nie doświadczał?

— Nie miałem czasu.

— Szczęśliwy pan!

— Takie szczęście, sądzę, że pani łatwo po-
trafiłabyś sobie stworzyć.

— Tu? na wsi?..

— Pani się w Paryżu nie nudziła?

— W Paryżu? — zawołała Irena, a oczy jej
zamigotały jakby odbłyskiem przelatujących bly-
skawic... — Ba! teatr! koncerty! tysiąc rozry-
wek, tysiąc przyjemności na każdym miejscu
pan znajdziesz... W Paryżu... Pan nie zna Pa-
ryża?

— Znam, pani.

Irena zatrzymała się, nie mogąc ukryć swojego
zdziwienia. On był w Paryżu! ten nauczyciel
wiejskiej dziatwy — idący tu koło niej krokiem
poważnym, ale nie salonowym wcale, w ubraniu
Bóg wie jak skrojonem?..

— Byłem tam pani dwa lata — na studiach...
a pani myślała?... — zapytał z uśmiechem.

— Pan zdaje się ma dyplom doktora filozofii?

— Tak, pan!

Panna Irena zaczęła szeptać:

— Paryż! doktor filozofii!..

— I nauczyciel chłopskich dzieci — dokończył,
śmiejąc się, Jerzy. Czy to nie śmieszne? nie-
prawda, pani?..

— To może być smutne — dodała jakby z prze-
strachem.

— Smutne?... przeciwnie, pani. To tylko by-
łoby dowodem pewnej dojrzałości społeczeństwa
naszego, które zrozumiało, że u nas mniej są
potrzebni doktorzy filozofii, a więcej tacy nau-
czyciele, jak ja.

Zadziwienie panny Ireny kazało Michałowi za-
jąć się wykładem niezrozumiałych dla niej fak-
tów. Wszystko, co mówił, było dla niej obce,
ale miało powab nowości. Zrazu słuchała z zaję-
ciem wielkim, wkrótce jednak przysłoniła się
pękiem bżów i ziewnęła nieznacznie.

— Rozumiem trochę pana — odezwała się po
chwili... Dla idei zaprzeć się siebie — to wznio-
sł! a mógłbyś pan przy swoim rozumie zdobyć
pieniądz — pozyskać sławę!..

— Tak, pan! możebyś fortunę zdobył i ja-
kieś liché imię pozyskał. Jadłbym homary i czy-
tał drukowane nazwisko swoje na szpaltach pro-
wincjonalnego dziennika. Jedno i drugie ma pe-
wien powab — nie przeczę! Przenoszę jednak nad
życie sybaryty rolę dobrego siewacza. Preten-
dentów do katedr nie zbraknie, a niema rąk, któ-
reby urodzajne ziarno na grunt leżący odłogiem
rzucały. Praca to ciężka, ale potrzebna, pani,
gwałtownie potrzebna. Ci, co mają pieniądze,
powinni część dać tym, którym ich brak zupeł-
nie; ci, co mają rozum, powinni światłem wiedzy

swojej z drugimi się podzielić. Potrzeba koniecznie oddać część siebie, a wtedy... nudzić się nie będziemy.

— Czy to naprawdę jest tak skuteczne lekarstwo? — zaśmiała się panna Irena.

— Spróbuj pan!

Irena podniosła oczy na mówiącego i, miewając swoich czarujących spojrzeń, odezwała się miękkim głosem:

— Daj mi pan rękę!..

Jerzy zawahał się... Szedł przy niej o krok oddalony, a nie mógł bicia serca swojego powstrzymać. Co będzie teraz? czy ono mu z pierśsi nie wyskoczy, gdy ręka w ręce iść będą dalej?.. On wspominał o konieczności oddania choć cząstki siebie — i w tej chwili ona zbliżyła się do niego i zażądała jego ręki. Co tam mówi o jakiejś dumie magnatów? Irena jest inna! — Opowiadał jej, że był synem biednych rodziców; że bosy do szkół biegał, że skończył uniwersytet, mrąc nieraz z głodu. Opowiadał krótkie dzieje swojego życia, ale tak krwawe, tak ciężkie, że pod razami, przez które przechodził, człowiek albo w proch pada, albo urasta w olbrzyma. On nie upadł!.. Zdobył naukę, lecz dla idei pogardził może świetną przyszłością, dającą mu życie bez trosk... Jest biednym nauczycielem biednej dziatwy wiejskiej, a Wapowska nie gardzi nim przecie. Idą razem... Teraz, choć serce mu drży, swoje ramię jej podał, czuje na nim jej ciężar lekki: nachylić się tylko, a ciepły oddech jej ust posłyszysz. Nie czuł się nigdy tak szczęśliwym, tak pewnym siebie — nigdy mu świat tak pięknym się nie wydawał. Przyciszonym głosem opowiadał jej o wielkim zadaniu, jakie miał spełnić, o wciągnięciu do zamierzonej pracy ludzi dobrej woli, o istnieniu których nie wątpił dzisiaj. Ona z zachwytem słuchała jego słów, paliła go spojrzeniem, z coraz większą swobodą gładząc swoje ciało opierała na jego ramieniu... Ach! gdyby przygarnąć ją mógł do siebie!..

Jakaś chmura zawisła mu nagle nad czołem... Szaleństwo!

Wapowska — i on!..

Uczuł ból silny — zrozumiał, że kochał... kochał bez pamięci i — bez nadziei!..

Ha! czy to jedna jest miłość — bez pamięci?.. Są miłości tak wielkie, że największy skarb stworzenia — życie, na jej ołtarzu się kładzie... a jednak zawsze tli jakaś iskra nadziei, że owa ofiara namarnie nie pójdzie. On znał tę miłość — wiedział, że cierpieć może, umrzeć może, lecz nie przestanie — wierzył! Teraz zrozumiał miłość drugą, od tamtej wagi mniejszej, a jednak, zaledwie narodziny jej spostrzegł, już ból uczul i tracił wiarę. Miłość pierwsza dodaje sił — ta łamie skrzydła i w proch wali.

Mgłą zaszły mu oczy — zbieleły usta: zadrżał!..

— Co panu? — spytała Irena. — *Vous-vous sentez mal?*.. Usiądź pan na tym zwalonym pnii drzewa!..

Ławski posłuchał — usiadł!..

— Panie Jerzy — co panu jest? — pytała troskliwie Irena. Usiadła przy nim blisko, pochyliła przesłoniczną swoją twarzyczkę i z trwogą nieklamana w oczy mu spojrzała. Ławski to spojrzenie spostrzegł, niespokojne, a zawsze piękne. — Odetchnął głęboko, jakaś myśl przebiegła mu przez czoło, fala krwi w twarz uderzyła. Chwilę patrzył na pochyłoną — była tak blisko niego, że czuł tchnienie jej ust; jak dwa brylanty czarne jej oczy patrzyły w jego oczy; — jeszcze chwilę upajał się czarem jej spojrzenia, później nieśmiało rękę wyciągnął i ujął jej drobne paluszki!..

Zatrzymał w uścisku.

Nie broniono.

Wróciła dawna nadzieja, oczy zabłysły pełnią wiary. Przytulił rękę do ust i długi, długi pocałunek na niej wycisnął!..

Panna Wapowska uśmiechnęła się nieznacznie i, za uścisk lekkim uściskiem płacąc, spytała głosem srebrzystym:

— Jak panu teraz?

— Ireno! — szepnął Jerzy. Głos mu drżał — serce jak młot biło. Chciał obie jej ręce chwycić, do piersi przytulić, ale ona umknęła lekkim

ruchem gazelli i, biegnąc wzdłuż łąki, zawołała na niego:

— A dokoń mnie pan!

Ławski się zerwał, zrobił kilka skoków niezgrabnych i stanął przy zmęczonej gonitwą.

Zaczęli się śmiać.

— Jak na doktora filozofii pan dobrze skaczysz! — wołała Irena, nie mogąc się powstrzymać od śmiechu, wywołanego przez niezgrabne ruchy Ławskiego.

— Al śmieję się pani — ale do gonitwy podobnej nie jestem przyzwyczajony — mówił, ocierając pot z czoła, podwójnie szczęśliwy, że zdobył się na krok stanowczy i ten go nie zawiodł. Jakieś błogie uczucie nim owładnęło — pewność szczęścia, wiara w duchową wyższość tej istoty, która stanęła na drodze jego życia.

Nie doszli do lasu, bo zaczęli zbierać kwiaty na łąkach i chwycić motyle. Dobrze już po zachodzie słońca było, gdy Jerzy odprowadził Irenę do pałacu.

— Nie proszę pana do pokojów, bo pan się znudzi w towarzystwie Flory. Do widzenia!.. rzuciła już ze schodów; miała wbiędy, ale się zawróciła i zbiegając szybko do wpatrzonego w nią Jerzego, odezwała się swoim melodyjnym głosem.

— Zamieniajmy się na kwiaty!

Wiązanek rwanych przez siebie smółek i dzwonek podał Ławskiemu, sama od klapy jego surduta odpięła bukiet, który on ułożył, i przypięła sobie do sukni. Jerzy rękę jej ujął i chciał do ust przytulić, ale Irena wysunęła ją szybko, mówiąc tajemniczo:

— Flora nous regarde!..

Zpod rzęs rzuciła na niego czarnymi oczyma, uśmiech zadrgał w kącikach jej ust, skłoniła głowę i szybko jak błyskawica wbiegła do marmurowej sali pałacu.

— Floro! Floro... *comme il est bête!*.. ho-ho-ho.. — Wołała rzucając się na fotel aksamitny, stojący koło otwartych parapetów.

Panna Flora śmiała się, słuchając opowiadań Ireny: „Ohi“ i „ah“ wychodziło z jej ust co chwila — *pas possible!*.. — zawołała, dowiedziawszy się, że Jerzy po imieniu Irenę nazwał; lży biegły jej z oczu, gdy Irena naśladowała przed nią niezgrabne kroki Ławskiego. A tymczasem Jerzy krokiem szybkim szedł przez groblą oddzielającą pałac ode wsi. Kołysał w sercu swoim idealną postać Ireny, otaczał ją blaskiem, jakim promieniała dusza jego w tej godzinie. Wszystkie skarby uczucia, całe piękno, jakie miał w sobie, przeniósł teraz na tę istotę i w tem pięknie rozkochał się, zatonał cały.

Noc całą nie spał, przemarzył, przesiedział nad stawem. W lekko drgających falach migotały złociste blaski księżycy, cichy szmer sitowia szumiał jakąś pieśnią miłości, w tchnieniach wiatru drżały dźwięki niezwykle.

— Boże! żeby ona mi rękę podała i chciała pomocnicą być moją!.. — szeptał zamiast pacierza, podnosząc oczy w błękity. — Jak prędko bujnym, pszenicznym kłosem pokryłyby się nieuprawne dziś łąki!

On widział przed sobą pola ogromne, które wciąż szerzej i szerzej zarastają złe chwasty. Jakieś żdźbło żytnie, zaniezione może przypadkowym wiatru powiewem, tu i tam kielkować zaczęło, ale zagłuszyły je osty, zakryły od słońca ramiona kolących bodziaków. Jałowicie ziemia wciąż szerzej. Wapowscy śpią, nikt gruntu nie uprawia, zdrowego ziarna nie rzuca. A czas wielki do siejby wziąć się, czas tak wielki, jak grzech tych, w ręce których złożone klucze do spichrzów.

— Żeby ona mi rękę podała i chciała pomocnicą być moją — szeptał, wracając nad ranem do zajęć zwykłych.

Dni następne nie różniły się w niczem od tego dnia szczęśliwego, w którym mu serce uderzyło raz pierwszy, ale tak silnie, że czuł, iż w tętnie onem zawarł się cały, pełny, skończony wyraz miłości. Kochał i wierzył, — bo trudno było nie wierzyć tym oczom tak płomiennie patrzącym, tym szeptom słodkim ust kobiecych. Poranki całe przepędzał nad książkami, których mu dostarczała zasobna biblioteka proboszcza; jeżeli zaś

dziatwa była swobodna od zajęć domowych, bo to czasem i cieląt dopilnować i gasek dopatrzeć trzeba było — wychodził z nią na łąki, na pola i dziwne historie opowiadał, o których nie słyszała dotąd. Jakieś szumy, chrzęsty i szczęki z ust jego biegły; w głosie słyszano sztandarywe szelesty, jakby nie mówił lecz grzmiał i szumiał, a czasami piorunem uderzał. Z rozwartymi szeroko oczami słuchała dziatwa czarodziejskich opowiadań i łatwo dostrzedz można było, że czar działał. Pod tego czaru urokiem rozgrzewały się serca, duch się uskrzydlał. Jerzy to czuł, widział, lecz cud ten przypisywał miłości Ireny. Ona te dźwięki do ust mu wkładała, głosem czarów mówiła — ona!

Po skończonych zajęciach szkolnych wychodził do parku, albo błądził nad brzegiem stawu. Wiedział o jakiej godzinie, w miejscu jakim spotka się z nią dziś, jutro. Najczęściej lekkie stuknięcie w szybę okna odrywało go od pracy. W pałacu nie bywał prawie, raz tylko hrabia zaprosił go, u proboszcza będąc, później zaprosin nie powtarzał; prawda, że uzyskał prawo uczęszczania na obiady i herbaty wieczorne, z prawa jednak tego nie korzystał, chyba na osobiste zaprosiny Ireny. Wapowski od pewnego czasu gościem tylko był w domu, przekładał zresztą Jerzy rozkoszne wycieczki z Ireną do lasu lub na pola nad duszną atmosferą pałacu i towarzystwo traktującej go przez nogę Flory. Czyniąc zadość formom światowym, możeby wypadało jakąś ceremonialną wizytę złożyć, gdy hrabia zjeżdżał — lecz on zapomniał o coś mówiących zwyczajach, wsłuchany w koncert dwóch serc, żadną fałszywą niezamącony nutą. Przechadzki odbywały się prawie codziennie, upajało go słodkie sam-na-sam, słuchał szczebiotu ust ukochanej kobiety, poddawał się władzy jej czarujących oczu, kochał, wierzył, w wielkie szczęście wierzył. Przychodziła mu czasem myśl niedobra, że on jest tylko towarzyszem spacerów panny Ireny. Kazała wieść się łodzią: za wiosło chwycił i mknął jak ptak po błękitnej powierzchni stawu; czasem podjeżdżała pod ganek jego mieszkania pięknym kabrioletem, powożąc sama, i zabierała go z sobą: jechali do lasu albo do wsi sąsiedniej... I przychodziła myśl niedobra, ale ją prędko precz odpędzał, bo Irena słowem jednym umiała roztrącić wątpliwość, jakimś szeptem tklivości pełnym z czoła zetrzeć smutek. Była tak dobrą, kochającą dobrą! była tak piękną, czarodziejsko piękną!.. Raz stulistnej róży złożyła pocałunek — i kazała, by on to samo uczynił — ucałował kwiat podany i czuł ciepło, czuł rozkosz jej pocałunku. Był wtedy u szczytu szczęścia, choć wieczorem dnia tego panna Flora nie mogła leż od śmiechu powstrzymać. Nie powiedział jednak dotąd Irenie: kocham! Pozwalała mówić mu oczami, uściskiem niemym, gdy witając albo żegnając, wyciągała rękę do niego — lecz słowem broniła. Nie gniewał się na to, tylko czuł, że serce wypełniało się po brzegi, że się chwila wyznań zbliża. Pragnął i bał się — dlaczego? sam nie wiedział. Czuł tylko, że tak jak jest, jest dobrze. Obawiał się zbytku szczęścia.

Hrabia rzadkokiedy był obecny w domu, za interesami dóbr swoich wyjeżdżał często. Mówiono, że sprzedawał lasy, że szukał nawet kupca na dobra wszystkie.

Wieść ta dotknęła Jerzego.

Od wieków kęs po kęsie ziemi słowiańskiej odpadał, a to był odłam ogromny!.. Skracano ojczyznę bez drgnienia powiek, bez wyrzutów sumienia.

Uczuł ból w sercu.

Ogromne majątności Wapowskich były ostatnim wielkim kawałem w ręku polskiego pana. Leżały jak wyspa olbrzymia pośród fortun barona Dreimundta, który umiał korzystać z chwili stosownej, jak pajak zarzucał sieci, opłatywał łatwą pożyczką, namawiał, radził nie żałować wydatków na przedsiębiorstwa różne — doprowadzał do ruiny i mienia kupował.

Ławski wiedział, że interessa majątkowe hrabiego zachwiane były, ale wierzył, że poczucie obowiązku cuda czyni. Wiedział o ogromnych długach, jakie Wapowski u Dreimundta zacią-

RUCH MUZYCZNY

gnał, ale znał wartość obdłużonej ziemi. Postanowił rozmówić się z Ireną: ona go tak dobrze rozumiała, tak kochała ją ojciec... Ona będzie duchem opiekuńczym tej idei, której on życie poświęcił.

Nauki z dziatwą wiejską pokonał wcześniej niż zwykle i wyszedł w stronę parku. Przecho-
dząc przez groblę, spostrzegł zdala Irenę, wcho-
dzącą na most przy młynie. Młyn był w ru-
chu, poruszały się potężne koła, opasywała je
wstęga srebrna, z łoskotem płynącej wody, która,
spadając w kotłinę, rozpryskiwała się w skier-
tyszące. Irena zatrzymała się, oparła o barye-
rę mostu i bacznie oczyma śledziła bieg
fal, które spienione z szumem w dół spadały
i strugą wązką, między zaroślami wikliny, drzą-
ce, srebrne, przeplatane błękitem i złotem niemi
drgającego w nich słońca—płynęły...

Z uśmiechem powitała Ławskiego, i gdy on
wspomniał o wieści, która go tak ubodła, twarz
jej pokryła się rumieńcem.

— Pan znasz barona Dreimundta? — spytała
szybko.

— Z zaborów jego, pani.

— On, zdaje się, ma syna, który jest wyższym
officerem w gwardyi królewskiej?

— Tak, pani!

— Wilhelm mu na imię—nieprawda?

— Zdaje mi się, że Wilhelm.

— Wilhelm... — powtórzyła — brzmi bardzo
ładnie.

Ławski zasłyszawszy szept, ale nie zrozumiał zna-
czenia.

— Chciałem z panią pomówić w sprawie onej
groźnej wieści, bo mam nadzieję, że jeżeli
jest prawdziwą, wpływ pani zamiary hrabiego
odwróci.

— Czy panu co na tem zależy? — spytała, pa-
trząc mu w oczy, tem spojrzeniem, które go
zmysłów pozbawiało.

— Czy mi co zależy? Nie, pani! — Mówię nie
w swem imieniu, lecz w imieniu ogółu.

— Masz pan mandat?

Ławski drgnął lekko, tak głos jej zabrzmiał
sucho.

— Mam! — odparł krótko.

— Kto panu go wręczył?

— Sumienie! — rzekł głosem silnym.

Irena patrzyła mu w oczy; wzrok się jej mie-
nił: zrazu był chłodny, później przybrał wy-
raz jakiś miększy, nakoniec wionął ciepłym ja-
kimś rozkazem.

— Panie Jerzy! — odezwała się, czarując go
swem spojrzeniem. — Ja panu coś powiem ale pod
wielkim sekretem. Rzecz się ma zupełnie prze-
ciwnie! Nie tylko fortuna mojego ojca przy
mnie zostanie, lecz znaczna część nawet dóbr
barona Dreimundta do mnie należeć będzie.

— I to uczynisz pani!.. nie prawda, że pani?
— zawołał z uniesieniem Ławski.

— Oczywiście, że ja!..

Pochyliła głowę, i w oczy mu patrząc, spytała
z przymileniem:

— Pan Jerzy kontent jest ze mnie?

Ławski rękę jej do ust przytulił i całował, cał-
ował bez pamięci.

O Floro! jakże śmiać się będziesz dzisiejszego
wieczora, gdy ci o tem uniesieniu Irena opowie!
Nie mówili już o Dreimundcie; Irena chciała
łódką popłynąć i wędka spróbować szczęścia.

Wmgniemiu oka Ławski sprowadził łódź, za-
maszyscie nią zawinał, aż śnieżna piana na brzeg
prysnęła. Podał rękę, skoczyła do środka, unosząc
niewielką sukienkę, skoczyła do środka.

Łódź drgnęła i pochyliła się...

— Ah!.. — krzyknęła Irena...

Straciła równowagę i zawisła nad głębią...

Ławski skorzystał z podającego mu dłoń so-
juszniczą wypadku. Poskoczył szybko i wpół
Irenę ujął...

Nie puścił...

(Dalszy ciąg nastąpi).

Pozwalamy sobie mniemać, iż mili czytelnicy
nasi, dostatecznie upojeni świeżem wiejskiem po-
wietrzem, pieśnią ptasząt, echem gór i szumem
lasów, powrócili już wszyscy do zacisznych mu-
rów Warszawy, gdzie czekają na nich odmienne
całkiem, lecz niemniej ponętne, przyjemności.

Ulubiona Muza, jedyna, która w mieście na-
szem rzeczywiście ugruntowała swe panowanie,
wkrótce znowu zawładnie sercami wiernych me-
lomanów, zawładnie, pomimo ciężkich czasów,
pomimo ogólnej stagnacji, pomimo smętnej aury
jesieni i—chłodnych przewiewów w teatrze le-
tnim; ma ona bowiem przedziwny dar: weselić
i rozrywać, zachwycać i koić. Tylko trochę cier-
pliwości, niewiele wymagań naraz, boć i ta Mu-
za przez kilka miesięcy bujała kędys po gajach
i łąkach, niekępowana, swobodna a rozleniwio-
na marzeniem. Na początek tedy mamy na sce-
nie opery: miluchną „Carmen“, zawsze imponują-
cych „Hugonotów“, zawsze uroczego „Fausta“,
a dalej podstarzała nieco „Violette“ i jej niemło-
dego bratanka „Trubadura“.

Opery te; oprócz występów naszych artystów,
dostarczyły wdzięcznego pola popisu kilku go-
ściennym śpiewakom. Panna Felicja Kaszowska
która już ongi u nas debiutowała, obecnymi wy-
stępy złożyła dowody studyów umiejętnie pro-
wadzonych. Chodzi teraz jeszcze o trafny wybór
dzieł, albowiem zdaje nam się, że nie wszystkie
role, które ma w swoim repertuarze, odpowiednie-
mi będą do charakteru jej talentu. Zauważyli-
śmy, naprzykład, iż w „Fauście“ gdzie przeważa
liryzm dopominający się pieściwego wdzięku,
rzewności i słodczy, śpiew panny Kaszowskiej
robi wrażenie słabe i chłodnym pozostawia słu-
chacza. Cudna Ballada, której tony idealne wiodą
w krainę marzeń, wcale nie była odczuta. Wza-
mian za to, poryw dramatyczny zapal i siła wy-
stępują u panny Kaszowskiej jako czynniki natu-
ralne, które mi wysmienicie i z wielką szlachet-
nością włada. Sceny przed kościołem i w wię-
zieniu, gdzie pojawiają się uczucia gwałtowniejsze,
wewnętrzne pasowanie się duszy, boleść
i oburzenie, zarówno w akcyi jak i w śpiewie bar-
dzo dobrze były oddane. Głos panny Kaszo-
skiej świeży i dość silny, najlepiej brzmi w to-
nach średnich, w wyższych traci swą metaliczność
a w niskich dużo słabnie. W każdym razie mo-
żemy wróżyć śpiewaczce dobre powodzenie sce-
niczne.

We „Violecie“ mieliśmy sposobność usłyszeć pa-
na Bernharta jako Germont'a. Jego piękny
barytonowy głos wydał nam się doskonałym, ale
surowym jeszcze materiałem, w którym dużo po-
zostaje do wyrobienia, głównie zaś podatna gię-
tkość, bez której nie może być ani subtelnej dyk-
cji, ani jasno zaakraglonych fraz muzycznych.
Swobodna gra także dopiero musi przyjść z do-
świadczeniem i dłuższem obyciem ze sceną. Pan
Myszuga rolę Alfreda przejmował się widocznie,
zniewalając słuchaczy do śledzenia z zajęciem
onych tak przez wszystkich ośpiewanych i ogra-
nych motywów. Pani Dowiakowska w roli ty-
tułowej sekundowała mu z wrodzonym sobie
artyzmem. W orkiestrze tylko usposobienie sen-
no-ckliwe zdradzało, że dla „Violetty“, kompo-
zycji stojącej już daleko poza prądem dzisiej-
szych natchnień i dążności, wybiła krańcowa go-
dzina. Przypuśćmy że tak, lecz bądźco bądź je-
śli dotąd pojawia się na scenie, to sam szacunek
dla twórcy i dla publiczności, wyklucza wszelkie
lekceważące objawy, tak ze strony dyrygenta, jak
i drzemiących pod jego niedołężną batutą człon-
ków orkiestry. Oile rzecz zyskuje na wykona-
niu, dał nam przykład p. Barcewicz, który cud-
nem pociągnięciem swego smyczka w „inter-
mezzo“ wzbudził ogólny entuzjazm i pod naciskiem
przeciągłych oklasków powtórzyć musiał swoje
solo.

Towarzystwo Muzyczne obdarzyło nas dwoma
koncertami, arcy-różnemi, tak pod względem bo-

gactwa programu, jak i wykonania. Pierwszy
wieczór inauguracyjny nie odznaczał się wy-
kwintnością. Kwartet smyczkowy: (pp. Jako-
wski, Noskowski, Rzepko i Goebelt) czynił wra-
żenie rozdźwięku, niespójni i szarpaniny, odstę-
pował przeto całkiem od zadania, jakie sobie sta-
wia wszelka muzyka zbiorowa. Być może, iż
dłuższe zgranie się artystów ze sobą, usunie te
nierówności i wytworzy kiedyś jednolitszą całość
tembardziej, iż wiemy, że każdy z osobna posiada
zalety wybornego *ansamblisty*, ale być może tak-
że, iż sam charakter ich gry przedstawia nazbyt
różnorodne artystyczne pierwiastki. Chór Towar-
zystwa natomiast, liczny a karny, z cieniowaniem
starannem i pełnością brzmienia wykonał: „Ave
Maria“ Liszta i dwie piosenki Noskowskiego.
Części wokalne przyjemnie dopełnił śpiew so-
lowy pana Millera, w instrumentalnej zaś popisy-
wał się jeszcze jako solista skrzypek p. Jakowski
w Andante i Finale z koncertem D mol Wienia-
wskiego. Pan Mosz deklamacją skromny pro-
gramat ożywił.

W tydzień później za to mieliśmy w Towarzy-
stwie prawdziwą ucztę muzyczną. Przedew-
szystkiem usłyszeliśmy dzieło dawno, bardzo
dawno, u nas niegrane, mianowicie: Oktet Es dur
Beethovena, na same dęte instrumenta. Zawsze
piękne, zawsze powabne i świeże dzieło nie-
śmiertelnego mistrza zachwycać się każe bogac-
stwem tematów i jubilerskiem opracowaniem każ-
dego szczegółu. Ogólny zaś nastrój rzeźwiaco
działa na ducha, mieści bowiem w sobie dużo
wesołego żywiołu, iskrzy się dowcipem i pogodną
a lekką werwą. Tym, którzy podjęli wykonanie
oktetu i doskonale swe zadanie spełnili, należy
się serdeczna podzięką. — Pani D'orio obdarzyła
nas Cavatiną z Halki i Sicilianą z Giovanni di
Guzman. Ostatnia ta kompozycja, mniej leżąca
w jej głosie, mniej też obudziła zajęcia i applauzu;
lecz w Cavatinie odniosła pani D'orio tryumf
prawdziwy, w każdą nutę przelewając uczucie
z serca płynące a całość utrzymując na wyżynach
prawdy i siły dramatycznej.

Dzieła: Bacha, Schumanna, Rubinsteina, Mosz-
kowskiego i Padarewskiego rozbrzmiewały w sa-
li Towarzystwa pod palcami młodej, utalentowa-
nej pianistki, panny Amelii Reichman. Panna
Reichman jest jeszcze uczennicą, lecz nie pody-
letancku odbywa swe studia pod kierunkiem
pana Schlöttera. Duża już technika i szlachetne
samodzielne pojęcie interpretowanych utworów
niewątpliwie ściełają wirtuozce jasną drogę do
świątyni sztuki.

Dalej, bo to jeszcze nie koniec progra-
mu wieczoru, ułożonego ze zdumiewającą
rozzutnością, dalej tedy, pan Aloiz ode-
grał Aryę Bacha, piękny Menuet Boccheri-
niego i przeładowany trudnościami koncert Mo-
lique'a, w którym wiolonczella wyczerpała zdaje
się wszystkie możliwe techniczne efekty, od
skrzypców nawet zapożyczone, i słodko śpiewała,
posłuszna rozkazom dzielnego wirtuozu.

Na tych miłych wrażeniach kończymy dzisiej-
sze sprawozdanie z muzyki królującej na estra-
dzie, lecz słówko jeszcze radziłyśmy poświęcić
muzyce, która dotąd zagrzebaną była tu i owdzie
w starych kościelnych archiwach, lub w nieudol-
nej formie, tradycyjnie przechowywała się w pa-
mąci ludu. Pan Alexander Poliński, zamilo-
wany poszukiwacz zabytków swojskich religij-
nych pieśni, zebrał i wydał nakładem „Echa Mu-
zycznego“ „Śpiewy chóralskie katolickie z XVI
i XVII stulecia. Pracę podobną podjął lat temu
kilka ks. J. Surzyński, lecz w pokażnej
liczbie jego zbiorów nader mało znajduje się
swojskich kompozycji. Z radością przeto wita-
my nowe wydawnictwo, które przyniesie pożytek
zarówno badaczom starodawnej sztuki u nas, jak
i korzyść praktyczną organistom i przewodnikom
amatorskich kościelnych chórów.

Juljusz Stettler.

NOWINY PARYŻKIE.

Z Paryża, 1 Października 1890 r.

Wrzesień. — Ostatnie odblaski lata. — Tyfus i jego ofiary. — Pani Samary-Lagarde, aktorka Teatru Francuskiego. — Myśliwstwo Paryżanów i otwarcie polowania. — „Kulisy Bulanżerowskie” i ich promotorowie. — Skandale. — Kongres międzynarodowy przeciw niewolniczy. — Otwarcie i zamknięcie kongresu. — Kardynał Lavigérie i jego przemowy. — Zastój. — Ogród aklimatyzacyjny w Paryżu. — Somalowie z Południowej Nubii — Dziwaczny wypadek. — Plaga egipska. — Historia pchły. — Anegdota o Ludwiku XVIII; jego kalemury. — Powódzie w południowej Francji. — Śmierć powieściopisarza Chatrian’a i pani de Friedberg, dyrektorki wyższej szkoły normalnej dla kobiet.

Ej! lato — lato, gdzie ty jest? Przeszłość nam wśród deszczu i zimna; można sprawiedliwie powiedzieć, że cię w tem roku nie było w Paryżu... Za to pierwsza połowa Września wylała na nas wszystkie blaski słoneczne — bez skwarów, upałów — coś jakby ideał najrozkoszniejszej pory roku. Skorzystali wszyscy z tej niespodzianki — nawet ten okropny tyfus, który wybuchał nagle, w najpiękniejszej, najmodniejszej stacyi kąpielowej, w sławnym Trouville. Jedną z pierwszych jego ofiar była słynna artystka teatru francuskiego pani Samary-Lagarde, — młoda jeszcze, wielce utalentowana — cicha i skromna w domowym życiu, matka dwojga malutkich dzieci — zostawia po sobie żal powszechny i opróżnione miejsce na scenie. Nieprędko i niełatwo znajdzie się równych jej zalet artystka, któraby ją zastąpić mogła.

Tak piękny początek Września, choć niedługo dotrzymywał placu, był bardzo na rękę myśliwym; z tym bowiem początkiem otwiera się wolne pole do mordowania wszelkiego rodzaju zwierzyny. Tutaj, gdzie polowanie jest ograniczone przez prawo i zredukowane do pewnej pory roku — jest to zabawa dosyć kosztowna, bo trzeba albo posiadać lasy i łąki na własność, albo wynajmować stosowne posiadłości — w dobrach skarbowych lub też prywatnych.

Takich Nemrodów, coby mieli wielkie posiadłości gruntowe, i to w pobliżu Paryża, a przytem trzymali psiarnie i cały ku temu rynsztunek i służbę — takich niewielu jest tutaj, w liczbie zaś tych rzadkich szczęśliwych, jest przecież i Polak, hr. Mikołaj Potocki, pan wielkiej fortuny, właściciel pięknej posiadłości z lasem, wodą i łąkami, położonej w sąsiedztwie historycznego Rambouillet'u.

Otwarcie polowania — jest to więc wielka i ważna epoka dla tych szczęśliwych śmiertelników — i wszystko też co albo posiada myśliwski zakład, albo, mając strzelbę i psa, ma też blizkie stosunki z arystokracją myśliwską, jest dziś w lesie lub na polu i pali proch, jak mówią Arabowie — biorąc udział w podziale zabitej zwierzyny, którą się tu obdzielać ze znajomymi jest pewnym rodzajem towarzyskiego obowiązku. Tak więc, nie dla wszystkich ten piękny Wrzesień pomyślny. Człowiek bawi się morderstwem, — a biedne zwierzęta tracą nawet prawo do życia i słońca!

Ale nie samo tylko polowanie było głównym zajęciem Paryżanów w tym błogim błogosławnym Wrześniu. Skandal — najmilsza, najulubieńsza dla nich pastwa, skandal, który się czołga i pełza jak gadzina, a w danej chwili, jak tygrys szarpie swą ofiarę — na chwilę opanował szaleem wszystkich i wszystko.

Niedosyć było tego, że banita i wywołaniec z ojczyzny — Boulanger osiadł na piaskach Jersay — nie dosyć, że mu odjęto, wszelki sposób szkoda: potrzeba było znaleźć jeszcze środki, aby on i jego współnicy mogli być zmieszani z błotem.

Nigdzie może na świecie skandal, oszczerstwo, plotka nie ma takiego pokupu jak tutaj. W je-

dnej chwili z drobnej muszki robi się słoń ogromny. Żaden człowiek, żadne pióro, żaden język, — nie zatrzyma się, nie zachwieje. Wszyscy jak jeden idą do szturm — straszliwy legion. Jak tylko poczną ten zapach ulubionego skandalu — szerzyciele tej nowiny znajdują się natychmiast — człowiek ofiara zostaje sam. Najbliżsi niegdyś, najmilsi zwracają się i stają przeciw wziętemu na cel przez potwarz lub prawdziwe nawet odkrycie. Przyjaciół wczorajszy dziś jest nieprzebragany wrogiem.

Tak stało się teraz i z Boulangerem. Ci sami ludzie, którzy byli sprawcami jego wygnania za wicherzenia występne — dziś prowadzą tę ostatnią wyprawę na powalonego człowieka. Narzędzie znalazło się na zawołanie. Tensam Mermeix, który dawniej jako gorący zwolennik w redakcyi dziennika *Voix du Peuple* odznaczał się tak szaloną propagandą idei bulanżystowskiej, który był oskarżony o współnictwo w kradzieży owych-to papierów *wysokiego sądu* (oskarżenia w sprawie przez prokuratora) przed jej wniesieniem, odesłany przed sąd, uwięziony i wypuszczony nakoniec, tensam Mermeix podjął się dziś tak osmarować ex-generała, aby go i dyabeł sam nie poznał.

Z dostarczonych mu dokumentów z *dobrego źródła*, bo urzędowego, i własnych osobistych wspomnień — ułożył zjadliwe oskarżenie, które pod tytułem: *Les coulisses du Boulangerisme* ukazał się na szpaltach dziennika *Figaro*, tego monitora wszystkich skandali, tegosamego *Figara*, który niedawno jeszcze zapisywał z pochwałą wszystkie czynności Boulanger’a, póki ten stał na widowni — i póki w kassie były pieniądze.

Ta sławna w swym rodzaju publikacja nie jest jeszcze wyczerpana. Golibroda ma jeszcze zapas skandalu, którym obdziela ciekawych dwa razy na tydzień. Tymczasem Boulanger milczy i zostawia wolne pole swym przeciwnikom, zapowiada tylko „prawdziwą już historią bulanżyzmu”.

Smutne to są — wielce smutne objawy. Społeczność, w której bulanżyzm mógł się rozkrzewić, a w której potem, gdy już wysechł i zgnął, mogą się dziać takie odkrycia z takich rąk — i takie po nich pojedynki, wymyślania, wzajemne wieszanie na sobie psów — musi być ciężko chora.

W Niedzielę, 21 Września, w kościele Świętego Sulpicyusza, odbyła się solenna ceremonia otwarcia kongresu wolnego anti-niewolniczego przy napływie tak licznej publiczności, że już o godzinie 2-jej z południa — przy wejściu i w bocznych nawach kościoła (miejsca bezpłatne) ruszyć się było niepodobna.

Główna nawa olbrzymiej świątyni była przeznaczona dla zaproszonych gości za biletami i na czele tych zaproszonych było duchowieństwo paryżkie dycezyi; osoby należące do dyrekcji rozmaitych kongregacyi duchownych i zakładów dobroczynności; delegaci siedmiu mocarstw reprezentowanych na kongresie, jako to: Anglii i Irlandyi, Niemiec, Austro-Węgier, Włoch, Hiszpanii, Belgii i Portugalii. Byli przytomni również delegaci sześciu lig anti-niewolniczych francuskich, a mianowicie: od komitetu wyższego patronatu. PP. Juliusz Simon, Jerzy Picot, członkowie Akademii i Lefèvre-Pontalis, dawniejszy poseł; od komitetu dyrygującego, pp. Keller, dawniejszy poseł; margrabia de Vogüé dawniejszy ambasador, i baron d'Avril niegdyś minister pełnomocny.

Wokół wielkiego ołtarza, za kratami, biskupi i misyonarze kardynała Lavigérie stanowią wspaniałą grupę, w której fioletowa barwa dygnitarzy odbija się jaskrawo na białem jak śnieg tle habitów ojców afrykańskich.

O wpół do 3-iej rozpoczęły się nieszpory. Księżę biskup Livinhac, przełożony misyi afrykańskich i prawa ręka kardynała Lavigérie, przybyły umyślnie z Afryki w wigilię — celebryje. Nuncyusz Monsignor Rotelli, wprowadzony pontyfikalnie przez hr. Jeard'a, generalnego przełożonego Sulpicyanów, w otoczeniu kleru, zasiada na tronie wzniesionym w chórze kościoła.

Zaraz po nieszporych nuncyusz przechodzi do ławki parafialnej, którą tu zowią *Le banc d'Oeuvre* naprzeciw ambony. Otaczają go przytomni na

obchodzie biskupi — po prawej jego ręce zajmuje miejsce ks. biskup Livinhac.

Śpiew chórally odśpiewany został przez artystów de Sulpicyusza z zadziwiającą czystością i wdziękiem. Poruszył on przytomne tłumy i przygotował serca do przyjęcia słów wymownego, jak drugi Piotr pustelnik, kardynała.

I oto jego eminencya wchodzi na ambonę. Przyznam się, że wzruszenie moje było niezmiernie na widok tej postaci pełnej siły i jedności. Głos donośny i czysty. Biała wspaniała broda ściele się patryarchalnie na czerwonym płaszczu kardynalskim. Dostojny krął, opowiadając historią wielkiego dzieła, które przedsięwziął i prowadzi tak dzielnie od dwóch lat — znalazł w swym głosie, w duszy swojej, wyrażenia i dźwięki tak poetyczne, tak silne, a tak do brotliwe zarazem — iż w jednej chwili porwał i uniósł z sobą zdziwionych słuchaczy.

Była godzina piąta, kiedy dostojny kardynał w patetycznym przemówieniu zakończył mowę. Wieczorny mrok zalewał powoli świątynię a rzęście światło z oświetlonych ołtarzy i całego wnętrza potokiem jasności zalało kościół. Na wschodach prowadzących na ambonę, po prawicy i po lewicy wspaniałego starca w czerwonych szatach, stali nieporuszeni jak posągi Ojcowie Afrykańscy, w swych białych habitach, kiedy przeciwnie w głębi Świątyni, przepelnionej tłumem pobożnych i wzruszonych ludzi — na jasno jarzącym się oświeceniu wielkiego ołtarza, odbijały się silnie czarne postacie całej legii młodziutkich Murzynów, przybranych dzieci kardynała, już wydartych okropnościom niewolnictwa i piekielnemu handlowi, uprawianemu przez Arabów.

Był to widok pociągający swoją oryginalnością i wspaniałością. I ci wszyscy, którzy go mieli przed swemi oczyma, zachowują niezgasłe wspomnienie.

Wspaniale wykonany śpiew *Veni creator* zakończył obchód, i kiedy biali ojcowie, jak ich tu i w Afryce nazywają, obchodzili kościół z wóreckami jałmużnicy, zebrząc na dzieło wyzwolenia Sachary i Sudanu, potężny głos organów pod magistralną ręką sławnego organisty Widora, wstrząsał murami świątyni i sercami obecnych.

Nazajutrz w sali Towarzystwa Geograficznego kongres miał pierwsze swoje posiedzenie. Obrady trwały jeszcze przez dwa dni następne i przeciągnęły się do Środy. Był to dzień przeznaczony na zamknięcie obrad kongresu, dzień solenny, w którym na publicznem posiedzeniu JEm. Kardynał Lavigérie miał pożegnać swoich współpracowników i tak mu sympatyczną publiczność paryżką.

Ostatnie to posiedzenie zapowiadało się bardzo szczęśliwie. Wiedzano, że kardynał miał mu przewodniczyć. Posiedzenie zostało otwarte o godzinie wskazanej naprzód, ale, ku wielkiemu zawodowi publiczności, JEm. była nieobecna. Na mównicę wszedł baron d'Avril. Zapamiętajcie to nazwisko. Jest to jeden z naszych szczerych a stałych przyjaciół, dawniejszy pełnomocnik francuzki w Belgradzie; ożeniony z Serbką dobrze mówi popolsku i zna języki słowiańskie. Baron d'Avril w obszernej i pełnej faktów mowie dał poznać terytoryum, na którym rozwija się błoga działalność świątobliwej misyi kardynała i jego pomocników — objaśnił przytem kwestyę Sahary. Po nim zabrał głos Margrabia de Vogüé, referendarz kongressu; lecz gwałtownie rozpoczął swoje zdanie sprawy, szmer załtwnie rozpoczął mu mowę: Kardynał! kardynał! — dał się zewsząd słyszeć głos publiczności. I rzeczywiście dostojny prezydent przychodził zająć swe miejsce. Zawsze tensam, spokojny, z wesołą uśmiechniętą twarzą z ogromną białą swą brodą, w czerwonym płaszczu, i weselszy, nawet jaśniejszy niż kiedykolwiek, bo sprawa kongressu poszła zupełnie według jego myśli.

Uprzejmem skinieniem ręki powitał delegacje i wysokich dygnitarzy Kościoła, stojących na estradzie, a następnie słuchaczy, między którymi surduty i sutanny księży stanowią ogromną większość. Prostota i dobroduszość biją z tego oblicza. Kardynał, jako Francuz prawdziwy, lubi wesołość i dowcipnem słówkiem zaprawiać swe naj-

poważniejsze rozmowy. Ledwie usiadł na swem miejscu, żywym spojrzeniem objął przepełnioną salę i, uśmiechając się, powiedział: „Nie widzę tu wielu dam w naszym zgromadzeniu, ale to niema wielkiej ważności, bo jakkolwiek nie są tu one liczne, możemy być pewni, że dzięki im wszystko, co się tu powie, powtórzone zostanie z pewnością”.

Wszyscy się śmieją serdecznie — i tak całą dobrą godzinę dostojny prątut utrzymuje zgromadzenie pod czarującym wpływem swej, pełnej rozumu i jasności, pogadanki. Bo jak mówi Francuzi — nie było to ani kazanie, ani konferencja, którą słyszano — była to pogadanka. Nie będę się silił daremnie powtarzać tego, com słyszał, bo nie może dać wyobrażenia o szczególnym wdzięku tej imprezacy. Jest to dobroduszość, a razem i siła. Najpotężniejsza wymowa zlewa się tu z dowcipnym żartem, i coraz prawie bez żadnej przerwy, to bawi, zadziwia, wzrusza słuchacza, zmusza go do łez, albo do uśmiechu. I ten talent niesłychany, szukając niby daleko, znajduje nagle i skromnie prawdziwe, stosowne i głębokie wyrażenie, co jak iskra elektryczna, przejmuje wskroś słuchacza.

Przytem, mistrz niesłychany w wynalezieniu efektu, naraz kardynał odczytuje telegram Leona XIII, wysłany doń z powodu kongressu, i podając błękitną kartkę słuchaczom, mówi: „Słowa, któreście słyszeli, moi panowie, są najświętsze ze wszystkich. Wyszły one z ust najwyższej władzy, jaka jest na świecie, i jak widzicie, mało to zajmuje miejsca — kawaleczek błękitnego papieru, przyniesiony tu przez chłopczyka”. — Dalej ciągnąć rozmowę, przypomina żartobliwie, że niektórym się zdało, iż on, kardynał, będzie formował pułki na zdobycie czarnego kontynentu. „Oto wczoraj, pewna dama pisała do mnie, prosząc, aby ją wpisać na listę *Volontaryuszów Sachary*. Dziękuję jej za tę ofiarę i niech mi wybaczy, ale nasze misje afrykańskie nie mają wcale markieta-nek (*cantinières*)”.

Nie wstrzymuje się święty przed gawędą, nie straszy go kalemur, tak miły Francuzowi. Obok kardynała siedzi ów „biały Ojciec”, biskup Livinhac. Dwanaście lat spędzonych na misji w Afryce daje mu prawo i powagę, nie tylko duchowną, ale i uczonego ligwisty. Wyćwiczony w językach murzyńskich, napisał on grammatykę i ułożył dykeyonarz, i to wśród biedy, a nawet prześladowania i nędzy. Akademia Napisów uwieńczyła te prace naukowe O. Livinhac’a. Korzystając z tego, kardynał powiada z uśmiechem ironicznym: „Jestem pewien, że ten oto człowiek jest pierwszy m. na którego skroni widziano połączone palmy męczennika z palmami Instytutu i Akademii”. Śmieją się wszyscy, ojciec Livinhac z nimi.

Ojciec Livinhac jest to mąż lat czterdziestu, średniego wzrostu, o twarzy wychudłej i smagłej o rysach regularnych i energicznych, z ogromną czarną brodą, która się szeroko rozsiadła na jego habicie misyonarskim. Kiedy mówi, głos jego wyraża jakąś jakby bojaźń, a akcent jest wyrażenie gaskoński, nie złagodziły zaś go wcale takie dyalekta jak *kizukuma* i *kirwakili*, ale wzrok ma dziwnie łagodny. I podziw ogarnia gdy się widzi, z jaką uległością i serdecznością, szczerą, na każde skinienie ruszając się młodzi neofici w liczbie czterestu, obecni w sali kongressu. Twarze ich czarne jak noc, ale bije już z nich światło ewangelii i uszlachetnia rysy. Livinhac zabrał ich z Ugandy, znad wielkiego jeziora Victoria Nyanza (Ukerewe), i przywiózł aż do Paryża.

O. Livinhac każe im naprzód dziękować kardynałowi, który udzielił im swego błogosławieństwa; żaden z nich nie umie ani słowa po francuzku; ale wszyscy padają na kolana i z uśmiechem w swojej mowie mrużą akt dziękczynienia. Pomiędzy tymi chłopcami, powiada nam O. Livinhac, są męczennicy, których poświęcenie i odwaga, przypomina pierwszych chrześcijan.

O. Livinhac opowiada nam ich historię, woła ku sobie dwóch: jeden młodziutki widział ojca swego żywcem odartego ze skóry i spalonego na stosie; drugi na miejscu ucha ma okropny otwór: ucho mu oderwano. — „Dlaczego pozwoliłeś, aby ci urwano ucho?” — pyta biskup. — „Bo nie pozwo-

lono mi się modlić” — odpowiada chłopiec ze smutnym uśmiechem. Kardynał tuli dzieci do swej ojcowskiej piersi i całuje każde z osobna. Widzę w ogromnej sali, wielu wśród tych, którzy przed chwilą jeszcze śmieli się dowcipów kardynała, teraz, w tej chwili uroczystej, płaczących jak bobry.

Ale czas ubiega. P. Vogüé ogłasza zamknięcie kongressu i czyta życzenia uchwalone przez zgromadzenie. Są one teżsame, jakie wyrażono już dwa miesiące temu na kongressie w Brukseli, którego akt generalny podpisały wszystkie państwa europejskie, prócz jednej Holandii.

O godzinie 5-ej p. de Vogüé skończył swój odczyt; delegat angielski, p. Karol Allen, w imieniu wszystkich cudzoziemców wyraził serdeczne słowo pożegnania kardynałowi, uścisnąwszy delegata, zwraca się do klęczącej publiczności i daje jej solenne błogosławieństwo.

Na ulicy, przy gmachu Towarzystwa Geograficznego, ogromny tłum ludu pomimo deszczu czeka, aby zobaczyć kardynała i jego misjonarzy. Ci, weseli i szczęśliwi, że się świat zajmuje ich świętą sprawą, dziwią się tylko, że przy tej sposobności oddania im czci i uznania, tyle ciekawości może panować wśród ludzi oświeconych od tak dawna wiarą i nauką. Ale nie zapominajmy, że jesteśmy w Paryżu i wogóle w wielkim mieście, gdzie gapiowstwo uliczne jest jakby wrodzonym *sportem*.

Niedawno jeden z apostołów socjalizmu w Niemczech, przemawiając do zgromadzonych braci, po kilka razy użył z naciskiem tego wyrażenia: „że społeczność drży w swych podstawach”. Gdyby to była prawda, a nie metaforą mówcy, któremu lepszemu brakło obrazu dla myśli, pięknie-byśmy wyszli na tem, bo rzeczywiście społeczność nasza, nie tego stoi na nogach; ale szczęściem jest to retoryczna figura, i nic więcej, a wszystko, co dziś tak trzęsie społecznością, przejdzie i zniknie, może nawet bez śladu.

Do ciekawych objawów tego wielkiego prądu umysłów, który wielu uważa za chorobliwe tylko zboczenie, należy zapewne to, co zaszło w *Jardin d’acclimation* w Paryżu przed kilkunastu dniami, szczególnie ze względu na aktorów i dziwaczny, a zapewne jedyny w tym rodzaju, powód manifestacji.

(Dokończenie nastąpi.)

U STÓP MONT-BLANC.

(Dokończenie.)

Dzień dobiegł końca i noc, która znowu zapadła, nie przyniosła nic — żadnej wieści. Sąsiadki mojej nie widziałem wcale. Czy spała? nie wiem... Nie słyszałem też w jej pokoju ani płaczu, ani modlitw — nie.

Może też miałem sen twardy po wczorajszej nocy bezsennej i wycieczce do Servoz, ale obudziłem się wcześniej i zerwałem natychmiast z łóżka, wyszedłem coprędzej na ulicę, gdzie już zastałem dużo ludzi. Starszy zgromadzenia przewodnik już też był tu, przy teleskopie, który odstąpił mu całkowicie przez milczącą umowę, a on zawiadamiał głośno zebranych, co widzi.

— Jest ich ośmiu... mówił, — zstępują powoli wąwozem Grandes-Monteés... niosą na tragach dwóch...

— A trzeci? — pytano. Czy ci, których niosą, ruszają się?

— Nie zdaje mi się — odparł patrzący.

— Choć przystanęli, bo zmieniają się przy tragach, nie widać, aby się ruszył który... dodał; przetarł oczy i skinął na stojącego obok górala: — Chodźcie no tu Jakóbie, i popatrzcie... zawołał: — Macie świeże oczy, a ja już się zmęczyłem. Czy się ruszają?

— Nie widać jakoś... — odparł Jakób głucho i po chwili zrobił uwagę, że z wysłanych dwunastu

ludzi brakuje czterech. Dwóch idzie przodem, dwóch w tyle, przy tragach czterech, a gdzie reszta?

Poprawił coś w teleskopie, poruszył sprężynę i patrzył, aż naraz zawołał wesoło: — Są... są i oni... wychodzą z wąwozu Mur de la Côte... Ach! dla Boga... jeden mało nie padł... poślizgnął się... puścili się w parów Corridor... teraz już nie widać nic...

Teraz nastąpiły przypuszczenia: kogo niosą na tragach? Czy obaj są przewodnicy, czy jeden przewodnik a drugi podróznik? W każdym razie gdzie trzeci? Odpowiedzi pewnej nie mógł dać nikt, a ja postanowiłem zobaczyć się natychmiast z nieszczęśliwą kobietą i powiedzieć jej wszystko, com widział. Była to wiadomość okrutna, ale jeszcze zostawiała jej isierkę nadziei i, jeżeli ją uderzyć grom, stanie się to w każdym razie łagodniej: serce jej chwiał się będzie chwilę jakś między rozpaczą a obietnicą szczęścia. Wróciłem do hotelu i zapukałem do jej drzwi. — To ja... sąsiad pani — rzekłem i nacisnąłem klamkę. Nie zamknęła się na klucz, nie myślała o bezpieczeństwie własnem, biedaczka!.. i stanąłem też zaraz przed nią. Siedziała na kanapie, wciśnięta w kąt, skulona. Łóżko stało nieporuszone, tak, jak zastałem je wczoraj, więc nie kładła się wcale; teraz przecież zerwała się bardzo szybko, gdy wszedł. Nie zapomnę nigdy wzroku jej biednych, wielkich oczu niebieskich, które się podniosły na mnie niespokojne, przelekle. Zacząłem też opowiadać szybko, nie nie tając, nie nie kolorując, a jak ona to przyjęła — pamiętać będę do godziny śmierci.

— Boże święty! Henryk jest może zdrow i cały, a ja nie wiedziałam o tem! — zawołała, chwytając się pajęczej nitki nadziei. Zawisła na niej duszą nad przepaścią boleści, i nikt nie wypowie, co czułem, gdy zapytała mnie z gorączkową żywością: — A pan co myślisz? Henryk może jest pomiędzy tymi, co idą — między tymi w tyle i nie dostrzegli go... Jest on niezmiernie mocny i zręczny, energiczny przytem i może mieć siłę, aby iść, a na noszach może leżeć trzech, nie dwóch, bo któż dojrzy dokładnie z takiej odległości?..

Mówiła, mówiła jednym tchem, a potem obejrzała się wokoło i pochwyciła płaszczyk, a gdy chciała jej go odebrać, oparła się. — Ja tam zaraz iść muszę... rzekła — idę natychmiast...

Ująłem obie jej ręce, oczy moje błagały ją, aby tego nie czyniła. — Nie pozwól pani.. do dałem — tą sprawą zajmuje się już teraz władza miejscowa, mer, i nie puszczają pani; nie puszczają nikogo...

— Dlaczego?..

— Nie puszczają... Taki jest widać regulamin.

— Ale pana może-by puścili?.. Pana puściliby pewnie, bo cóż im to szkodzi?

Podnosiła na mnie z naiwną prośbą biedne, splakane oczy, które nagle napełniły się znow łzami. Już nie mogła mówić, lkała, a ja tylko ścisnąłem ją za ręce. Przecież zdołała się powstrzymać po chwili i rzekła znow błagalnie: — Gdybyś pan poszedł, gdybyś był tak dobry, to musiałbyś zrobić mi jedną jeszcze łaskę? Nad schroniskiem w Grands Mulets powiada zawsze chorągiew, którą wyraźnie widać przez teleskop. Jeżeli... jeżeli już nie mogę spodziewać się czego to... to zwiń pan chorągiew... owiń ją koło drzewca. Dopóki nie zobaczę tego znaku, będę mieć nadzieję, będę siedzieć tu cicho...

— Czy dobrze? — zapytała, a nigdy nie zapomnę dźwięku jej słodkiego głosu, gdy mówiła: „Póty będę mieć nadzieję!..” A jaki był uśmiech, którym mnie żegnała — uśmiech spalonych gorączką ust biednych, gdy z oczu lały się łzy...

Było koło godziny czwartej popołudniu, gdy się dostał do pierwszych skał Grands Mulets, gdzie zatrzymał się pochód żałobny, bo na noszach leżały — trupy! Umieszczono je w małej izdebce pobocznej, na łóżku, jeden obok drugiego, i tak je zobaczyłem. Czterech poszukiwaczy jeszcze nie wróciło z wyprawy, reszta siedziała koło ogniska w pierwszej izbie; odpoczywali, ogrzewając się przy kominie; jedli, pili, co było rzeczą naturalną po zmęczeniu doznaniem. Postanowili przeczekać tu i świtanie ruszyć do-

piero do Chamounix. Nigdy nie zapomnę wrażenia doznanego, gdy spojrział na trupę Anglika — na piękną młodą twarz kredowej bledkości i wysmukłą, zeszytniałą postać. Obok niego leżał barczysty góral z siwą brodą, ojciec Gaillard. Syn widząc uratował się, przecinając powróż, łączący go z tymi, których przepaść już porywała. Znać było to przecięcie narzędziem ostrym, przecięcie i jego wzięcia zapewne śmierć: osunął się w przepaść wraz ze śniegiem, na którym postawił nogę, bo nie zdołano go odszukać. Wołano... wołano w rozmaitych miejscowościach, ale daremnie nasłuchiowano potem najsłabszego dźwięku odpowiedzi. Przy trupie Anglika sterczało coś na piersiach w kieszonkę jego żakiety, i odważyłem się sięgnąć po to. Był to karnecik alpejskiego klubu, którego karty były zapisane ściśle, wprawne pismem męskiej ręki. Spostrzeżenia nad naturą, wrażenia obrazów widzianych, oddawał wybitnie styl męski, szlachetny i poetyczny, ale nie dotrwało to do końca. Pismo stawało się coraz mniej czytelnym i zdawać-by się mogło, że je kreśli ręka inna. Niestety! palce sztywniały z zimna i człowiek był zesłabły, walczący już tylko wysiłkiem woli z niemocą, która go obezwładniała.

W górze ponad tem było zanotowane: Pół do siódmej wieczorem. — „Jakże zimno! jakie zimno niezmiernie — pisał dalej. — Przewodnicy zaczynają się niepokoić, co udziela się mimowoli i mnie... Podzieliłiśmy się żywnością skrupulatnie, chleb zaczyna lodowacieć, wino marznie a huk piorunów ogłusza. Biją gdzieś bardzo blisko, ale chmury, które nas otaczają, są tak gęste, że błyskawic nawet nie widać i ledwo coś, jak czerwona łuna, zamigocze i zgaśnie. Piszę, trzymając pochodnię między kolanami, a jak mi zimno! Śnieg pada, pada wciąż, leci płatami wielkimi i... zaczynam się lękać, czy już ujrzę kiedy Chamounix...”

Karta nie została zapisana do końca i podróżny zaczął pisać na drugiej:

— Która to godzina? Zegarek stanął na dwunastej i czy było to południe, czy północ? Co za straszna ciemność dookoła! Wkrótce i ja się w niej pograżę... Nie wiem: czy przewodnicy śpią, czy pomdleli?.. Nie odpowiadają mi, choć wołam; co do mnie, wiem, że to już koniec. Nogi zeszytniały mi przemarzłe. Śmierć przyjdzie niedługo, umieram, wierząc w Boga — umieram chrześcijaninem...

Była potem gruba linia podkreślenia, a raczej dwie linie, jedna na drugiej, poniżej napis: „Do mojej najdroższej!”

— „Już cię nie zobaczę więcej na tym świecie, kochanie ty moje... Ta myśl jest dla mnie cierpieniem największym, bo wiem, żeś była całym szczęściem mego życia — ty dobra, tkliwa, skromna, kochająca małżonko moja! O mnie tylko lękało się serce twoje — i dla czegoż nie słuchałem cię!.. Gdyby tak było, znajdowałbym się teraz w objęciu twojem, serce przy sercu. Pragnę już jedynie tego, abyś mi przebaczyła cierpienie, spowodowane na ciebie przez moją istotę ruchliwą, żądną wrażeń innych, niż bieg cichy codziennego życia. Złego miałaś męża, złego kochanka, ale wiem, co powiesz ludziom... Powiesz im, żeś była dumną z tego, żeś pragnął czasem dróg życia nieudeptanych konwencyonalnie, że mi było trzeba czasem szerszego oddechu dla piersi...”

— Aniu moja ukochana, czy ty mi darujesz, żeś był czasem złym dla ciebie, że ci nie pozwalał zostawać zawsze uległym dzieckiem wobec ciotki Kory? Gdy ją zobaczysz, przeproś ją... powiedz, że miałem charakter żywy, dumny, ale nie byłem bez serca i nie zaciąłem się nigdy w gniewie na nikogo — prócz nikczemnych! Dla ciebie byłem jednak czasem przykry... Pamiętasz? wtedy wieczorem, gdy wróciłem tak późno ze Stirlingu i nie chciałem ci powiedzieć, gdzie byłem! Hardość to była niepokonana nawet przez miłość — hardość, przez którą mężczyzna nieraz udręcza kobietę...

„Daruj mi, Aniu... tak cię kochałem, od pierwszej chwili ujrzenia...”

„Ach! jak ręce mi ziębną... i oczy się zamykają. Nie mogę się obronić przed snem... U was tam już pewno świta, słońce wejdzie niedługo, po-

chodnia moja już też się dopala i zostanie wkrótce w ciemności, i palce już mam tak sztywne, a śnieg tak pada... Ja cię już nie zobaczę pewno. Do widzenia w wieczności Aniu moja, ostatnie westchnienie moje należy do ciebie.”

Jeszcze poniżej były jakieś gzygaki ołówka, ale już nie mogłem wyciągnąć z nich nic. Przeczytałem to wszystko, co było czytelnym, głośno, a przewodnicy, otaczający mnie zbitą kupką, plakali. Grube łzy płynęły po ogorzałych licach. Pozostawała mi powinność jedna jeszcze: dokonanie prośby, zanesionej przez nieszczęśliwą kobietę, ale zesłabłem i nie mogłem... nie mogłem! Nie zwinąłem chorągwi, powiewającej ponad schroniskiem skał Grands Mulets...

I nie wróciłem Pod Niedzwiedzia, nie wróciłem do Chamounix. Przewodnicy zaprowadzili mnie do wioski Argentiére, skąd posłałem po rzeczy pozostałe w hotelu, dołączając należność za czas mego tam pobytu. Niech Bóg i czas pocieszy biedną Anię, biedną wdowę po człowieku, który nie lubił chodzić ścieżkami ubitemi.

Kronika działalności kobiecej.

— Szkoła stenografii, powstająca w Petersburgu, posiadać będzie oddział kobiecy.

— Petersburskie Stowarzyszenie Budowniczych zamieściło w programacie kwestyi domagających się rozwiązania zagadnienie: czy kobiety mogą z korzyścią dla siebie i społeczeństwa zajmować się pracami architektonicznymi?

— Hr. Augustowa Potocka z Willanowa darowała miastu naszemu plac, mający połączyć ulicę Bielańską z Miodową.

— Zmarła Hortensya Staniszevska, zapisała ostatnią swą wolą na rzecz Przytułku dla paralytyków i nieuleczalnych 3.000 rs., Warszawskiemu Towarzystwu Dobroczynności 150 rs. dla oddziału sierot, 200 rs., dla oddziału starców i kalek, Szpitalowi Dzieciątka Jezus dla oddziału sierot po 150 rs., Instytutowi św. Kazimierza 180 rs., Instytucji Jasnucznej 150 rs., Biuru Nędzy Wyjątkowej 200 rs., oraz 45 rs. na ugoszczenie sierot w Towarzystwie Dobroczynności, u Dzieciątka Jezus i w zakładzie św. Kazimierza. Dziwnie chwyta za serce ta pośmiertna myśl kobiety o przyjemności, o chwilce wesołej zabawy sierot biednych.

— Bazar wyrobów kobiecych przy ulicy Wierzbowej przyjmuje obok zamówienia na wszystkie roboty z zakresu zwykłej pracy kobiecej, także zamówienia na wyroby galanteryjne. Niedawno została wykonana, na zamówienie, przez jedną z pracownic Bazaru, ozdoba szkatułki do przechowywania biżuterii, bardzo ładna.

— Zakład pożytecznych zabaw i zajęć dla dzieci od lat 3 do 8, tak zwany ogródek freblowski, otwiera przy ulicy Wilczej Nr 6, p. Helena Kaplińska. Jest to osoba posiadająca patent nauczycielki wyższej, a której pierwszemu wykształceniu przewodniczyły tradycje pedagogicznych pojęć Żmichowskiej, i można też liczyć na pewno, że zakład odpowie dobrze przeznaczeniu swojemu, wyręczania w zajęciu się dziećmi tych matek którym jakaś konieczność obowiązkowa nie pozwala na wypełnienie tej powinności macierzyńskiej.

— Redakcja pisma naszego odebrała list w sprawie ważnej, bo dotyczącej interesu najliczniejszego koła robotnic: szwaczek i magazynierek, w którym wyrażona jest potrzeba, aby ze względu na dobro tak pracodawczyń, jak pracownic, zaprowadzony został w mieście naszym zwyczaj wydawania pracownicom przez zarząd zakładu, w którym były zajęte, świadectw: jak długo i w jakiej gałęzi roboty, za jakim wynagrodzeniem pracowały. „Świadectwa takie zapobiegłyby ciągle przy zmianie miejsca powtarzającym się próbom bezpłatnym, którym nieje-

dnokrotnie ulegać muszą, nawet najzupełniej uzdolnione robotnice. Tydzień bezpłatnej pracy próbnej ma niemałe znaczenie dla pracującej, lecz z drugiej strony, trudne jest wymagać, aby naczelniczka zakładu, polegając na gołosłownym zaręczeniu osoby interessowanej, zawierała z nią umowę na czas dłuższy, nie wiedząc dostatecznie do jakiego stopnia jest do pracy swojej uzdolnioną”. Korrespondentka dodaje przytem, że ugoda zawierana powinna również określać pewien oznaczony czas jej trwania i obowiązywać obie strony z tem dodatkowym zastrzeżeniem, aby oznajmienie rozwiązania umowy następowało zawsze w terminie określonym i dającym obu stronom czas odpowiedni do wyszukania sobie z jednej strony roboty, z drugiej robotnicy.

— Zmarła niedawno w Szczawnicy p. Michalina z Rudzkich Pietruska, właścicielka posiadłości ziemskiej, przeznaczyła testamentem znaczny kapitał na cele dobroczynne dla włościan: na szpital, na założenie kasy zaliczkowej i stypendya dla synów włościańskich. Niech jej świeci światłość wiekuista, że pragnęła rozświecać ciemności umysłów bliźnich swoich!

— W okolicach Kalisza objawił się wśród pań wiejskich ruch w zakładaniu pasiek i prowadzeniu gospodarstwa pszczolnego, które może przynosić dochód znaczny, tak za wosk, jak i miód, na które to produkty jest zawsze popyt, nie tylko w kraju, ale i na wywóz zagranicę. Muzeum pszczolnicze na Koszykach dało gospodyniom naszym wiejskim popęd do tego, a raczej przypomniało im tę gałąź pracy, wchodzącej u nas odwiecznie w zakres gospodarskich zajęć kobiety. Posiadamy obecnie kilkadziesiąt pszczolarek, uzdolnionych dobrze do prowadzenia pasiek na zasadach pszczelarstwa postępowego i mogłyby one stać się z kolei nauczycielkami dla okolic swoich, jak już były i są tego przykłady, o których pismo nasze donosiło w swoim czasie.

— Muzeum Techniczno-przemysłowe dla kobiet w Krakowie rozpoczęło z d. 1-my Października dwudziesty trzeci rok swego trwania, otwierając kursa rysunków, malowania i modelowania. Na kursach wyższych studiów naukowych, które rozpoczynają się z d. 15 Października, wykładają profesorowie: Mieczysław Zaleski, Wiktor Erard Ciechowski, Hugon Zathay, Dr. Anatol Lewicki, ks. Dr. Pawlicki, Dr. August Sokółowski, Ludomir Benedyktowicz, Dr. Czerny i Antoni Gettlich. Kursy te odpowiadają wykładom uniwersyteckim na wydziale filozoficznym.

— W Wiedniu biuro statystyczne przyjmuje od pewnego czasu kobiety, i jest ich tam liczba znaczna, wywiązując się bardzo dobrze z zadania swojego.

— Na uniwersytecie w Bernie ukończyła wydział lekarski ze stopniem doktora medycyny p. Stanisława Popławska. Zamierza ona po powrocie do kraju i złożeniu wymaganego egzaminu, praktykować w Warszawie.

— W Bernie, zamożna pani Ewelina Escher-Welti zapisała związkowi szwajcarskiemu majątek swój, wynoszący kilka milionów franków, na cel utworzenia instytucji imienia Gotfryda Kollera, popierającej w kraju rozwój sztuk pięknych. Rada Związkowa przyjęła zapis i warunki, wypłacając ofiarodawczyni 70.000 franków rocznie, co stanowi tylko część pobieranych od ofiarowanego kapitału procentów. Życzeniem ofiarodawczyni jest, aby konserwowanie zabytków starej sztuki było tu szczególnie uwzględnionem, a obok tego dodaje warunek, aby w czasach wojny cały procent od sum zapisanych był obracany na pielęgnowanie rannych, oraz na utrzymanie żon walczących żołnierzy.

— Józefina Truffeau niewidoma, wychowanka paryzkiego zakładu dla niewidomych, złożyła z wielkim powodzeniem egzamin na wyższą nauczycielkę przed paryżką komisją egzaminującą. Pierwszy to wypadek tego rodzaju we Francji. W Paryżu również głuchoniema od urodzenia Ludwika Gautier zdała egzamin ustny i pisemny w Szkole Sztuk Pięknych, na nauczycielkę rysunków, i została nią zaraz w tejże instytucji. Pisma paryżskie donoszą, że kształconą ona była według systemu Grosselin'a.

— Zmarła w Paryżu Anna de Friedberg, dy-

rektorka wyższej paryzkiej Szkoły Normalnej nauczycielek, oraz inspektorka szkół normalnych w całej Francji. Zmarła była ozdobiona krzyżem Legii Honorowej za zasługi położone na polu edukacji kobiecej we Francji, a głównie za troskliwe zajmowanie się ochronami nie tylko w Paryżu, ale za wnoszenie ich w całej Francji, zwłaszcza po miastach z rozwiniętym silnie przemysłem, gdzie matka zajęta pracą, musi odstępować domu, więc i dziecka.

— Berta de Chauvin, wysoko w naukach przyrodniczych wykształcona naturalistka, zajmowała pierwsze obok Virchowa miejsce na kongresie przyrodników w Berlinie w miesiącu zeszłym. Słabowita za lat młodych, nie mogła być oddaną do żadnej szkoły publicznej, kształcać się wyłącznie w domu na wsi, oddała się wcześniej obserwowaniu natury i zajęciom, jakie to niesie za sobą, i doszła w ten sposób do wyższej wiedzy w naukach przyrodniczych, tylko przy pomocy książek czytanych, nasuwających jej myśl badań i doświadczeń, przez które na swój własny, oryginalny sposób dokonała wielu odkryć poważnego znaczenia w nauce i zdobyła sobie sławę w szerokich kołach naukowych. Jej zoologiczne gospodarstwo przedstawia według wyrażenia się niemieckich czasopism, nową arkę Noego, gdzie najrozmaitsze i wrogie sobie gatunki, przebywają obok siebie spokojnie i przyjaźnie. W ptaszarni jej żyją zgodnie: sępy, kruki, gołębie, pawie, bażanty, papugi, skowronki, posłuszne jej głosowi i łaskawie cisnące się do niej za samem usłyszeniem jej głosu. Kot siamski przebywa w tejsamej klatce, gdzie mieszczą się szczury egipskie, nie rzucając się na nich i nie zwracając na nie uwagi żadnej, co jest zobopólnem. Posiadany przez p. de Chauvin zbiór motyli jest najdoskonalszym w całych Niemczech, lecz i w świecie roślinnym pani ta „dopełniła cudów“, jak się wyrażają specjalne pisma niemieckie. Wyhodowała takie odmiany kwiatów i ziół o jakich nie słyszano dotąd w botanice. Mało pisze, bo zdrowie jej jest zawsze bardzo delikatne, przecież dwa traktaty z zakresu nauk przyrodniczych, które wydała, zwróciły na nią uwagę uczonych kół niemieckich.

— Helena Rud, młoda panna z wyższego towarzystwa angielskiego, otrzymała nagrodę konkursową, za piękne przetłumaczenie jednej z od Horacego.

Z bieżącej chwili.

— Petersburska Akademia Nauk otrzymała od ministerium oświecenia 15.000 rs. na wydawnictwa pomników i dokumentów historycznych. Rzeczona instytucja zamierza dokonać zadania tego w przeciągu przyszłego roku.

— Muzeum rolnicze w Petersburgu otworzy przed końcem bieżącego roku oddział drobnego przemysłu, urządzony przez ministerium dóbr państwa. Toż ministerium zamierza założyć na Kaukazie szkołę uprawy krzewu winnego.

— Mińskie Towarzystwo Dobroczynności zamierza założyć szkołę rzemiosł, przeznaczoną dla sierot, zostających pod jego opieką, a które będą się tam uczyły stolarstwa, ślusarstwa i kowalstwa. Szkoła chce przygotować w ten sposób odpowiednio uzdolnionych rzemieślników wiejskich.

— Towarzystwo Jedwabnicze zawiązane zostało w mieście naszym dnia 10 b. m. w miejsce nieistniejącej już „Spółki Jedwabniczej“, po której otrzymało znaczny spadek: 5.000 rs. ulokowanych w Kassie Przemysłowców. Towarzystwo liczy obecnie 67 członków; członek rzeczywisty płaci rocznie 5 rs., lub składa jednorazowo rs. 100, protektorowie najmniej 300 rs. Zarząd Towarzystwa tworzą pp.: Adolf Bogucki, wytrwały przedsięwzięcia tego promotor, Emil Broniewski, Zygmunt John, Maxymilian Malinowski, Stanisław Kosiński, Jan Banzemer, Wiktor Magnus Kommissyę rewizyjną składają pp. Alexander Makowsky, Jan Martynowski, Jan Zieliński. Pierwsze posiedzenie zajął p. Antoni Nagórny, mówią, w której wykazał, że we Francji, posiadającej obecnie tak wysoko rozwinięty przemysł jedwabniczy, początki były równie ciężkie. Obecnie jest to jedno z najpoważniejszych źródeł bogactwa narodowego Francji, a powtórzyć się to może i u nas, potrzeba tylko zainteresować tu drobnych właścicieli wiejskich. Kapitał posiadany przez Towarzystwo pozwoli na rozwinięcie starań w tym kierunku.

— Budujący się na Pradze kościół Ś. go Florjana otrzymał dach, pokrywający nawę kościelną i presbiterium. Na szczycie zawieszono też wieniec i zatknęto dwie chorągwie.

— W salonie artystycznym Krywulta wystawiono trzy obrazy treści religijnej, pendzla dawnych mistrzów włoskich, odnowione przez p. Karolinę Szmurłównę i wyobrażające: Chrystusa, Matkę Boską i Ś. go Sebastjana. Ofiarodawca przeznaczył fundusz ze sprzedaży tych obrazów na powiększenie summy, potrzebnej na budowę wież kościoła Wszystkich Świętych, lecz chyba musi być wyłączonym z tej składki grosz kobiet uczciwych i godność swą szanujących, bo te nie bywają tam, gdzie oczy ich spotkają się z cynizmem malowidłem „Skandal w hotelu“, z malowidłem ze „Sprawy Clémenceau“. Jest wtem wstrętne anomalia, aby ohydne te obrazy mieściły się obok takich, które dla bardzo znacznej większości naszego społeczeństwa przedstawiają świętość i zacnemu redaktorowi „Biesiady“, należy się wdzięczność za to, że rzecz wytknął i uwagę publiczną na nią skierował. Trzeba też powtórzyć za nim, że została wyrządzona krzywda moralności publicznej.

— Obraz Stanisława Wolskiego, przedstawiający epizod z 1812 r. „Spowiedź w polu“ znalazł nabywcę.

— Czesław Jankowski nadesłał z Paryża cztery kartony przedstawiające w allegoryi życie artysty na tle czterech por roku. Sztuka, w postaci kobiety z gwiazdą u czoła, przyzywa go do siebie, lecz wkrótce go porzuca.

— Andriolli został zaproszony przez wydawców „Wędrowca“ na kierownika części ilustracyjnej, która ma zostać w tym tygodniku znacznie rozszerzoną.

— Cykl obrazów ludowych, z których pierwszy nosi tytuł: „W noc księżycową“ wykończy Władysław Tetmajer. T. Popiel maluje obraz „Pocieszycielka Prometeusza“ Łuskiński nadesłał na wystawę krakowską płótno: „Koniec wieku“.

— Muzeum Goethego w Weimarze otrzymało portret poety z 1776 r. rysowany ołówkiem przez malarza Krause a ryty na miedzi przez Chodowieckiego.

— Nowe wydanie dzieł Mickiewicza przygotowane do druku przez Biegeleisena wyjdzie wkrótce we Lwowie.

— Włoski dramaturg: Marco Praga został ozdobiony orderem przez króla Humberta za dramat „Dziewica“, w Listopadzie ma zostać

wystawioną w Turynie nowa sztuka tego autora: „Idealna kobieta“.

— Kompozytor Litolf wykończył nową czteroaktową operę: „Król Lear“. Text napisał według tragedii Shakespeare'a Juliusz Adams.

— Na scenie paryzkiej wielkiej opery będzie wkrótce wystawione nowe dzieło kompozytora Masseneta: „Czarodziej“. Na scenie tego teatru odbyły się niedawno próby z instrumentem, oddawać mającym wszystkie uderzenia i tony dzwonów na wysokich wieżach. Ma on kształt wielkiej szafy i mieści w sobie 25 cylindrów, odlanych z tegosamego materiału, co dzwony kościelne, a są one różnej długości, grubości i objętości. Najdłuższy z tych cylindrów ma sto pięćdziesiąt, najkrótszy sześćdziesiąt centymetrów. Dźwięki wywoływane będą za pomocą klawiatury, której klawisze wprawiając w ruch metalowe młotki pozwolą otrzymać według żądanego rytmu dźwięki słabsze lub mocniejsze.

— W roku przyszłym mająca się odbyć we Frankfurcie nad Menem wystawa elektromechaniczna wywoła wiele zjazdów i narad w kierunku zastosowania siły elektryczności. Zbierze się najpierw kongres elektrotechników; następnie zwołany zostanie przez magistrat miejski kongres wszystkich miast niemieckich z celem wypróbowania wszystkich znanych systematów oświetlenia elektrycznego, przenoszenia siły elektrycznej i możliwych zastosowań elektrycznej kolei. Dalej zgromadzi się kongres przyrodników, kongres gazomaszynistów, wodomaszynistów, co razem da wystawie wyższe naukowe i techniczne znaczenie.

— Podróżnik niemiecki, badający południowo-wschodnie strony Afryki, kapitan von François, i jego towarzyszy porucznik von François nadesłali do Europy wiadomość o wyprawie swojej, posuwającej się w stronę jeziora Ngami. Droga, którą się puszczało w styczniu, nie przedstawiała żadnej trudności, jest to bowiem równina rzadko zaludniona, ale brak wody, na który cierpieć tu trzeba nawet w porze deszczów, kazał się obawiać o utrzymanie przy życiu bydła pociągowych. Do okolic zamieszkałych zaliczyć można jedynie doliny Nosop i Swas. Pierwszą z nich zamieszkują Hottentoci z pokolenia Amraal, drugą pokolenie Betsuanów, wśród którego krainy koczują górale z pokolenia Buszmanów, i małoludy podobne do karłów ze środkowej Afryki. Zdrowie podróżników było wciąż dobre, przecież murzyni, których mieli ze sobą zapadli na febrę za zbliżeniem się do jeziora Ngami. W Marcu porucznik von François, mając ze sobą 42 jezdnych, dwa wozy ciągnięte przez woły mały powozik, oraz drabiny i inne podobne narzędzia ułatwiające podróż, puścił się z miejscowości Tsaobis w stronę Otjunbinge, ztamtąd do Okahandia i Rahoboth. Wszędzie wyprawa była przyjmowaną przyjaźnie, jakkolwiek początkowo krajowcy chcieli opierać się żądaniom podróżnika europejskiego, co przecież działało się bojaźliwie, więc skrycie. Najbardziej zajmującą miejscowością krainy Akahandia jest osada Omaha, wśród bogatych ogrodów w płodnej ziemi położona liczą blisko 2.000 ludności.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 12-ty i 13-ty powieści pod tytułem: **Administrator**, przez Golo Raimunda. Przekład C. Niewiadomskiej.

TREŚĆ: Nie dla mnie (wiersz) przez Kazimierza Glińskiego. — Kobieta Czeska z XVII-go wieku. — Kazimierz Gliński: Ave! obrazek współczesny (dalszy ciąg). — Ruch muzyczny, przez Juliusza Statlera. — Nowiny Paryzkie. — U stóp Mont-Blanc (dokończ.) — Kronika działalności kobiecej. — Z bieżącej chwili.

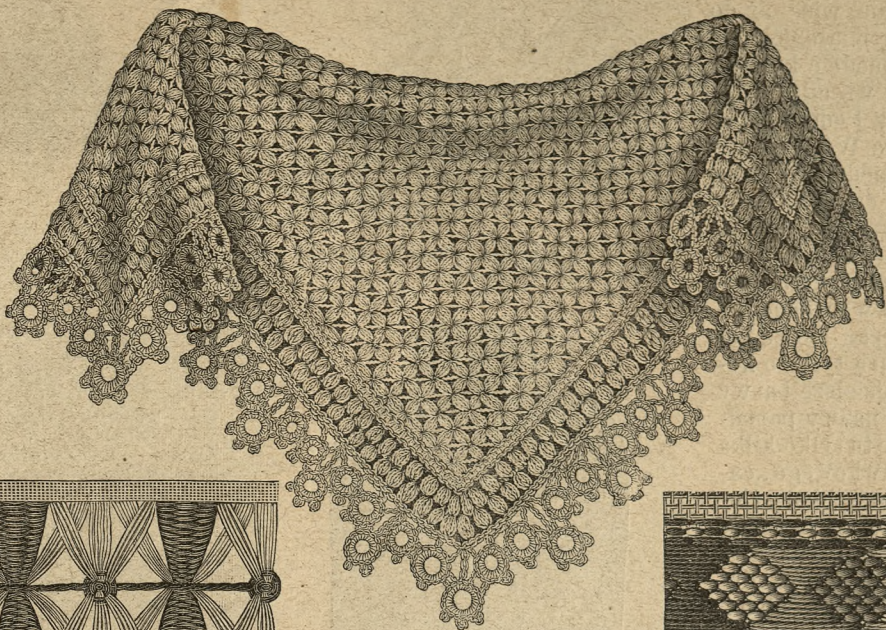
Dodatek obejmuje: Arkusz 12-ty i 13-ty powieści, pod tytułem: **Administrator**, przez Golo Raimunda. Przekład C. Niewiadomskiej. — Przegląd mód. — 27 wzorów ubiorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycja stołu.

Przegląd mód.

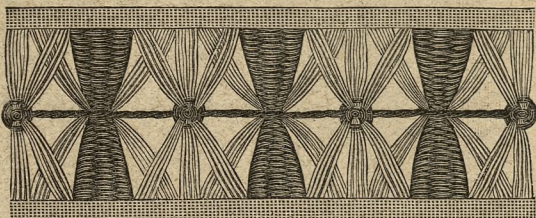
Estetyka i różnorodność mody.—Salon z modelami u naszego Worth'a (Herzego).—Suknie stylowe, kostiumy sukienne. — Kolory i książka traktująca o modnych kolorach.—Boa za 100 rubli.

Musiemy przyznać, że moda dzisiejsza jest prawdziwie estetyczna, nierażąca, nieprzeciążona ozdobami, nienakazująca despotycznie trzymać się zawsze jednej formy, ale uwzględniająca wiek, położenie i kieszeń — otóż to najważniejsze, bo jest i materiał i ozdoba i magazyn na wszelką cenę. — Mówię

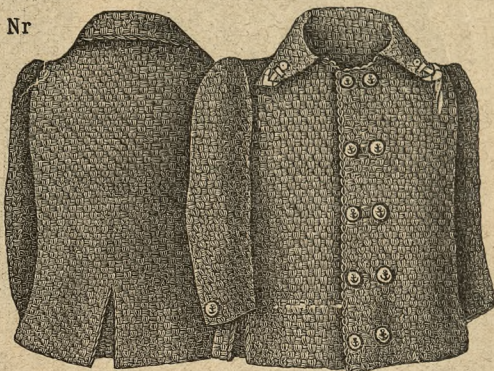
o różnorodności staników, kołnierzy, szmizetek, bluzek, a głównie o rozmaitych fasonach fiszutek, czyli chusteczek z „crêpe-lisse“ zrobionych z falban dzierganych jedwabiem, uwidniających otwartą szyję, przy strojniejszych sukniach przechodzi w tej chwili zakres naszego przeglądu, ale jeszcze wrócimy do nich, mówiąc o wieczorowych ubraniach—dziś przychodzi mi najcięższe zadanie dać sprawozdanie z modeli pana Herzego, które zaciekawiają zwykle przez parę tygodni naszym światem elegancji, bo trzeba wam wiedzieć moje panie, że nasz uprzejmy Worth (Herze) dwa razy do roku na wiosnę i na jesieni robi wystawę przywiezionych z Paryża modeli przez dni kilka, a wtedy spragnione nowości damy nasze zjeżdżają się tłumnie i zalegają gościnne jego salony, oglądając, robiąc swoje uwagi, i prowadząc poufne rozmowy. A że nie odbywa się to bez korzyści dla magazynu dowodzi, że nie jedna z pań, nie myśląc o sprawieniu sukni, zapaliwszy się gorąco do jakiegoś nowego fasonu obstalowywać częstokroć suknię za kilkadziesiąt rubli, bo nie obawiajcie się panie i u Herzego są toalety na różną cenę. Zagadałam się



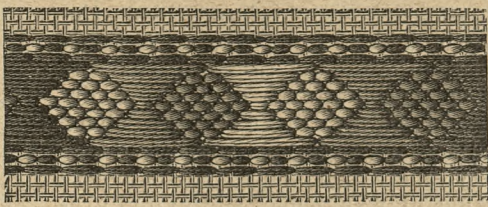
Nr 1. Chusteczka wykonana szydełkiem (do ryc. Nr 6).



Nr 2. Mereska do ozdoby ręcznika Nr

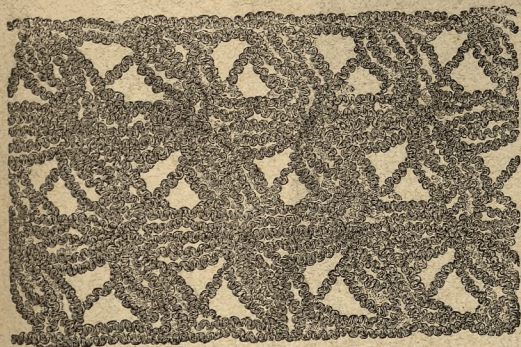


Nr 3 i 4. Kaftanik marynarski dla dzieci od 2 do 3 lat (robota szydełkowa). Krój odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 66—68.

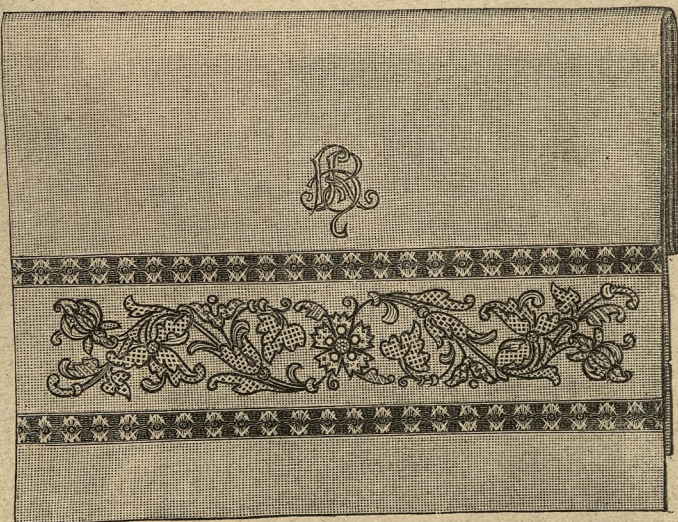


Nr 5. Szlak wykonany ścięciem płaskim.

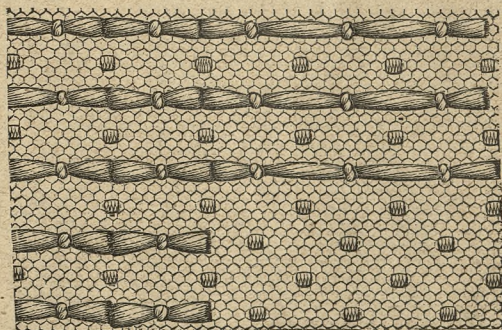
stylowa od prawdziwego Worth'a, składały się na nią aż 3 kolory: biały (bo biały wraca zamiast kremowego do mody, ten ostatni znudził nas już), blade bardzo różowy i liljowy, wszystkie adamaszki w jednym desenie — przód biały, boki różowe, tren bardzo sutyl lila; — to samo powtarzało się w kaftanie długim „à la Louis XV“ z ranwersami różowymi. Pół długie, rękawy zaś różowe z lila ranwersami. Z przodu stanik wycięty szalowo suto bardzo ugarbiowany, tak jak i rękawy starą koronką i falbanami z „crêpe-lisse“ srebrem dzierganymi. Drugą strojną była czarna aksamitna mieszana z „crêpe-chine“ to ostatnie całe było zasypane srebrnymi blaszkami, lekkie materiały czarne w blaski stalowe lub srebrne są bardzo noszone w Paryżu. Otóż suknia była cała aksamitna z przodu dwa razy przecięta wzdłuż i podłożona taką krepą, przedziały zdobiła szeroka na 10 cent. srebrna pasmanterya, stanik wycięty z przodu zdobiła zamiast berty staro-



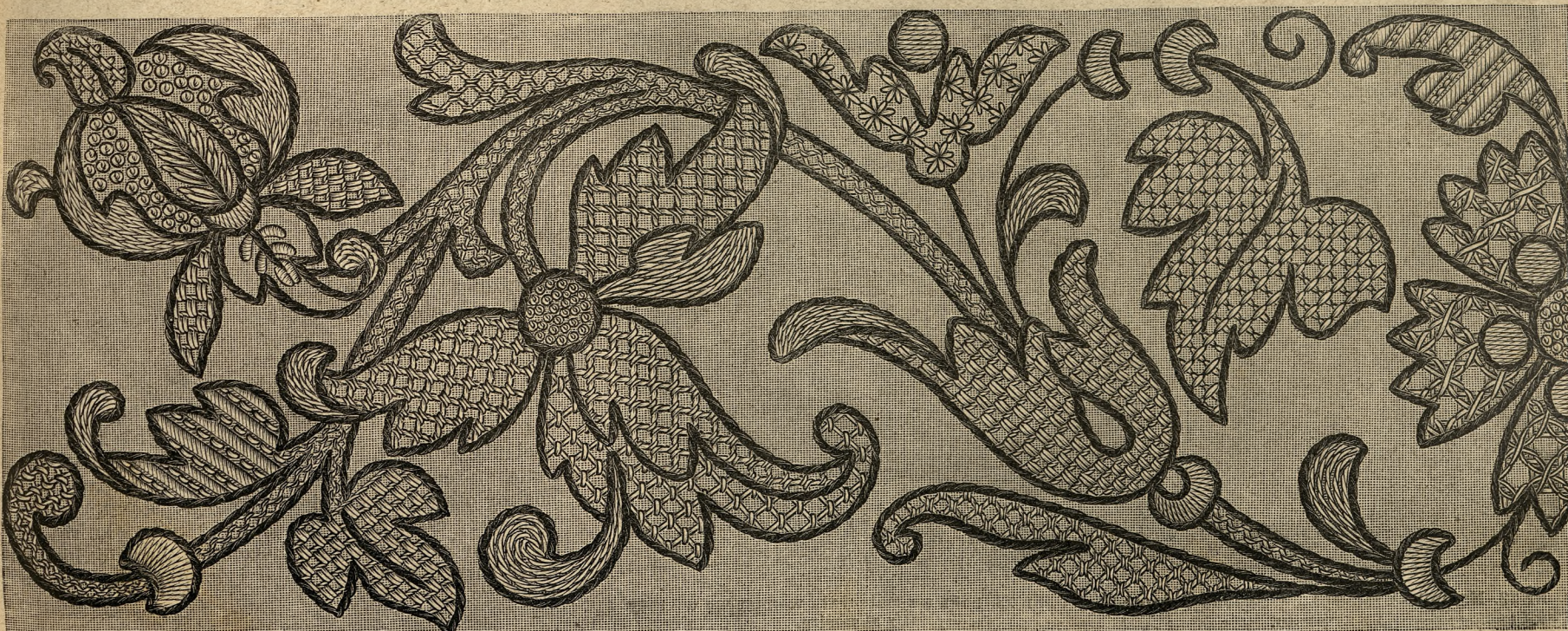
Nr 6. Część tła na chustkę Nr 1. (Wielkość oryginalna).



Nr 7. Ręcznik ozdobiony haftem i mereszką (do ryc. Nr 2 i 9).



Nr 8. Część tła do zarzutki na głowę Nr 1 w Bl. Nr 41. (Wielkość naturalna).

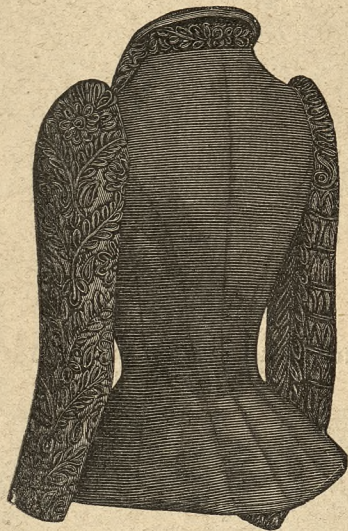


Nr 9. Połowa szlaka na ręcznik Nr 7. (Wielkość oryginalna).

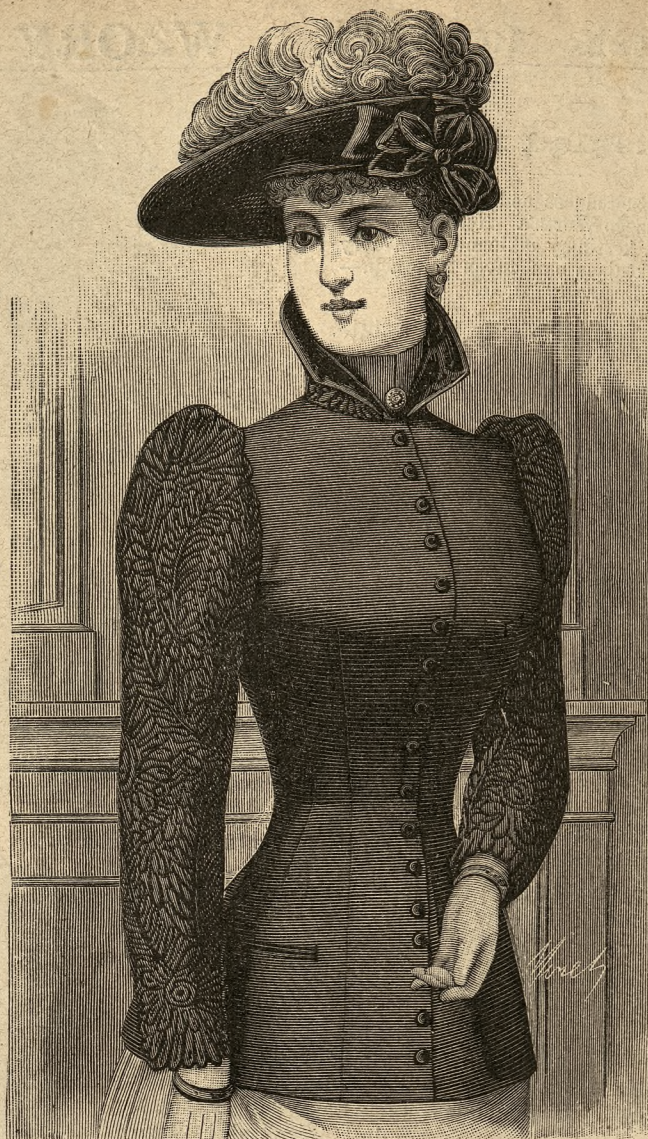
świecka draperya z krepy zebrana w środku, tak jak to noszono przed 40-ma laty, rękawy do łokcia tylko były z krepy ze srebrem, luzne, małe, w górze i w dole związane na wstążeczki, od ramienia więc aż do łokcia były otwarte, tak iż ładne ramię miało pole się pokazać. Pytaliśmy siebie kto takie modele kupuje? a wypadek odpowiedział nam: p. Herze wrócił w Niedziele, a telegram odebrany w Sobotę z Podola żądał sukni bardzo strojnej i modnej, więc we Wtorek czyli we dwa dni niespełna po nadejściu modeli wysłano taką suknię białą z jedwabiu „beau de cygne“ (skóra łabędzia) przybrana „crêpe de chine“ w złote blaski, całość była przesłiczna. Śliczny był kostium jedwabny z czasów dyrektoryatu koloru skóry bawołu. Zapytacie naturalnie co to za kolor. Otóż w świecie kolorów jest obecnie chaos taki nazw, że pan Herze pokazywał nam odrębną książkę, traktującą tylko o kolorach, a w której wszelkie możliwe dzisiejsze barwy a jest ich mnóstwo, są przedstawione i nazwy popodpisywane; zdumiałam widząc to wspomnę tu tylko kilka modnych jak obecnie: obergine rodzaj śliwkowego, „cabyle“, rodzaj jasno-miedzianego „celero“, blado-zielonkawy „lavende de chine“, kolor kwiatu lawendy i t. p., a więc ten kostium, był to surdut na dwa rzędy dużych złotych cyzelowanych guzików, z dużą klapą wywinietą z jednego boku z kieszeniami, wyłogami u rękawów i pluszową koralową bluzą wyrzuconą fantastycznie z pod kłapy. Skromniejsze kostiumy przeważnie były sukienne, śliczny był granatowy nasywany czarnymi tasiemeczkami z dwóch boków, stanik z długą baskiną, wszyty w marszczony karczek ukrojony razem z kołnierzem „à la Marie Stuart“ i podszyty wypustką z czarnych strusiuch piór jak i rękawy. Wiele kostiumów robą z aksamitu w paski w połączeniu z sukniem i tak: spodni-ka, sukienka brązowa, obłożona u dołu pasem waz-



Nr 10. Czepeczek z surah, wstążki
i koronki.



Nr 13. Żakiet z syberyjny (do ryciny
Nr 14). Kr. i op. pierw. str. tabl. Nr
III. fig. 29—35.



Nr 14. Zakiet z syberyyny (do ryc. Nr 13). Krój i opis
pierw. str. tabl. Nr III, fig. 29—35.



Nr 111 z koł-
m.



Nr 17. z aksamitu.

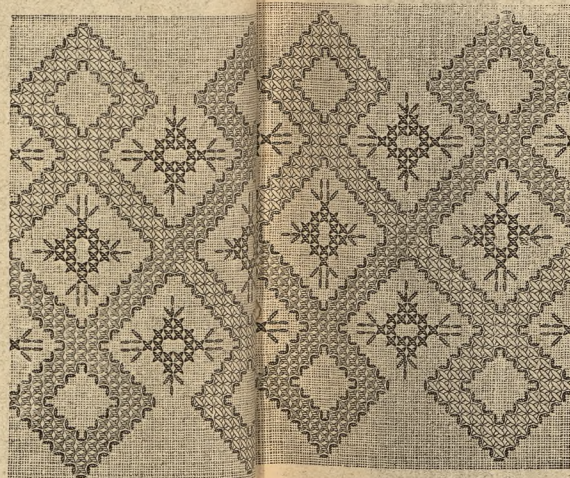


Nr 15. Pokrycie z sukna (do ryc. Nr 16). Kr. odwr. str. tabl.
Nr IX, fig. 69—72.



Nr. 18. Fartuszek z materiału jedwabnego.

kim futra, do tego kaftan dość długi, zielony, aksamitny, przybrany złotą torsadą, bluzka brązowa i futerkiem. Jeszcze tylko jeden opiszę granatowy: materiał wełniany cały niby w drobnutkie zakładki przybrany morą czarną, na plecach skrzyżowanie idące ku przodowi, gdzie się kończy długą szarfą. W sezonie karnawału wrócimy jeszcze do toalet balowych u pana Herzego, dziś ty boa bardzo dużego obwodu i tak miękkie jak puch z piór odcienia, powierzchnię których białe strzepy strusie o bardzo boa było śliczne, oryginalne, a rubli aż sto! A co za cudne są w modzie z matowej korony nieskończyłabym nigdy! bo i Herzego.



Nr 20. Deseń do fartucha (ścieg krzyżowy i Holbejna) o-ponsowy i * zielony.
* Ciemno-ponso



Nr 21.



Nr 19. Fartuszek ozdobiony szlakiem haftowanym (doryc. Nr 20 i 21).

Czepeczek z „surah,” wstążki i koronki.

Rycina Nr 10.

Czepeczek ułożony na foremce
petynetowej ściętej nieco w ząb
z przodu, przybrany wagką mo-
rową wstążeczką. Koronka uło-
żona podług ryc. w sposób węż-
zykowaty wznoszący się ku
wierzchniej przedniej części.
Otoczenie z koronki, nad któ-
rafaldy z „surah“ koloru dowol-

Czepeczek ze wstążki i koronki.

Rycina Nr 11.

Foremka petynetowa obszyta drucikiem wstążeczką. Koronka koloru „crème“ 12 cen. szer. ułożona podług ryc. Pukle ze wstążki repsowej koloru lososiowego 6 cent. szer.



Nr 22. Mantylka z materyału jedwabnego „broché“
i z aksamitu.

Nr 23. Suknia z materiału wełnianego w kraty
i z aksamitu.

Kapelusz z aksamitu.

Rycina Nr 17.

Kapelusz w rodzaju kapotki z czarnego i żółtego aksamitu przybrany puklami ze wstążki aksamitnej żółtej egretą dzetową czarnym fantazyjnym piórkami. Wstążki do wiązania z atłasu „merveilleux“ koloru czarnego 9½ cent. szer.

Mantylka z sukna.

Rycina Nr 15 i 16. (Kr6j odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 69—72).

Okrycie z sukna popielatego i białego ozdobiona haftem maszynowym wykonanym jedwabniem ciemnym i jasno-popielatym. Skrając z lewej jedwabnej podszewki i sukna białego fig. 69 dwie części, podług fig. 70 i 72 po jednej części złożonej wzdłuż środka. Następnie z sukna popielatego podług fig. 71, do 20 części zmniejszonej, dwie części, z których każdą ułożyć podług wskaźówek w fałdy, pozostawiając rogi nietknięte. Zeszyć wzdłuż linii od 73 do 74 z karczekim i wykonać na ramionach 7 fałd, trafiając $\frac{1}{2}$ na kropkę, następnie dolne części przymocować kilku ścięgami jedną do drugiej. Wszyć kołnierzyk i wstążki do wiązania pod spodem okrycia, dla uwydatnienia wcięcia.

Suknia z materiału wełnianego w kraty.

Rycina Nr 23.

Suknia z materiału w kratę szkocką przybrana granatowym aksamitem. Na spodnicy z podszewki wierzchnia spodnica skrajania ukośnie 350 cent. obwodu, otoczona w dolnym brzegu na 10 c. szer. aksamitem, w dolnym zaś w ściśle fałdy ułożona. Stanik podług ryc. z karczkiem z aksamitu, pasek takż sam. rękawy aksaminne.



Nr 11. Czepeczek z wstążki
i koronki.



Nr 16. Okrycie z sukna (do ryciny
Nr 15). Krój odwr. str. tabl. Nr IX,
fig. 69 — 72.

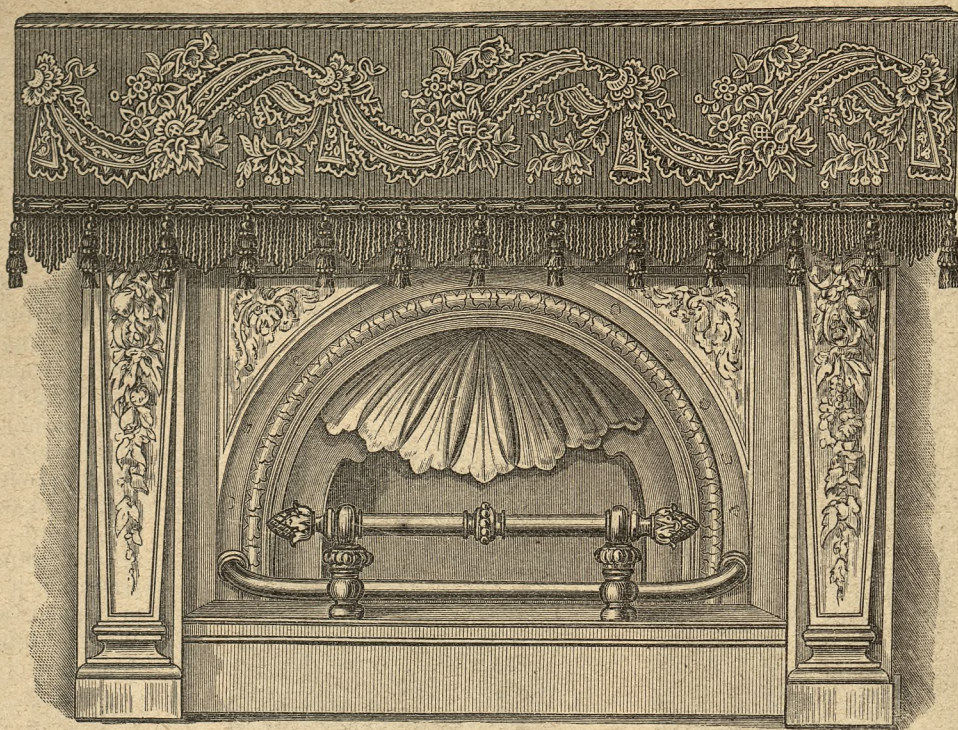


Nr 24 i 25. Suknia z kaszmiru i aksamitu.

Przepisy gospodarskie.

Kapłon, pularda i kurczęta pieczone.

Dawniej pierwszy drób posypywano bardzo suto bułką tartą, dziś wyszło to z użycia, dla czego, nie wiem. Każdy drób a szczególnie kapłon, powinien być na kilka dni przed pieczeniem zabity i oskubany, a każde nawet kurczę czterotygodniowe lub starsze musi być skubane nigdy parzone, kładąc na rożen lub do pieca, każdy rodzaj drobiu posmarować rozbitym jajkiem, następnie zaraz posypać mąką, a dopiero smarować masłem lub fryturą, przez co formuje się smaczna skórka; kurczęta w czasie pieczenia bardzo dobrze jest ciągle smarować młodą kwaśną śmietaną, co je robi pulchnymi i jakby narośniętymi, przy końcu należy tak smarować, aby się śmie-



Nr 26. Ozdoba do kominka wykonana ściegiem płaskim (do ryc. Nr 27).
Deseń pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 36.

tana zrumieniła i dopiero na półmisku polać młodem masłem z rumianą bułeczką, kurczęta takie wysmienicie smakują.

L. C.

Obiad na Niedzielę.

Rosół z drobiu z ryżem.
Łosoś w auszpiku.
Rozboef z makaronem.
Kalafiory, marchewka, groszek z grzankami.
Kurczęta z kompotem z jabłek.
Budyń z szodonom.

UWAGA.

Tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w N-rze 40 i 41 „Bluszczu“ służy też do N-ru dzisiejszego.



Nr 27. Część haftu do ryc. Nr 26. (Przedłużenie deseni pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 36).